

Zdobycie Konstantynopola.

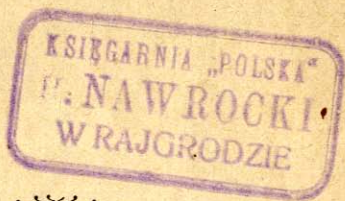


ZDOBYCIE
KONSTANTYNOPOLA.

OPOWIADANIE HISTORYCZNE

przez

Stefana Gębarskiego.



WARSZAWA

Skład główny w „Księgarni Polskiej” J. Sikorskiej—Warecka 14.

—
1901.

Дозволено Цензурою.
Варшава, 24 Марта 1901 года.



103230

k-52/80/114601



I.

Złe wróżby.

Nad Adrjanopolem wiosenne słońce wzbilo się już wysoko, darząc ożywczymi promieniami doliny, wzgórze, lasy i pola, zielonym wiankiem otaczające ten starożytny gród, którego fundamenty rozszerzał niegdyś w drugim po Chrystusie wieku sławny imperator rzymski—Adrjan.

Biały obłok dymu wzbija się ku górze, rozplywając się w szafirowem przestworzu południowego nieba—i tylko sinawe, lekkie jak eter smugi pozostają niżej nad ziemią, sunąc w stronę miasta i rozbijając się o jego wieżycę, o szczyty pałaców i szemrzące wierzchołki niebotycznych topoli, modrzewiów i lip.

Dym wydobywa się z wąwozu, który przebiega między dwoma wzgórzami. Wzgórze te, dość stromo nad nim sterczące, w miarę posuwania się na północ, w stronę Serbji, łączą się z pasmem gór Bałkańskich.

W wąwozie, na niewielkiej polance, osłoniętej ze wszech stron dzikokrzewami, około roznieconego ogniska siedzą trzej ludzie w podróżnych odzieniach.

Jeden z nich—to starzec już, o siwej aż na piersi spływającej brodzie, dwaj inni—to młodzieńcy jeszcze o bujnych czuprynach i muskularnych ramionach. Żywą wiodą pomiędzy sobą rozmowę, lecz głosem stłumionym, jakby w obawie przed podsłuchującymi.

Znać było, że starzec pragnie o czemś przekonać młodzieńców, a zwłaszcza jednego z nich o rumianej jak burak twarzy i błyszczących czarnych oczach, w których, zda się, żywy ogień płonie, tli się, żarzy i nigdy nie gaśnie.

Starzec rozkłada ręce, załamuje, to w górę je wznosi, jakby nieba na świadka prawdziwości słów swoich wzywając; czarnooki zaś, zaciśniętą dłoń w górę wznosząc, miastu nią grozi i przekonać się starcowi nie pozwala.

Trzeci z pomiędzy nich, jasnowłosy młodzian o twarzy bladej i spokojnych, jasnych oczach, nie zważa na żywą utarczkę między towarzyszami, lecz niedbale i z miną znudzoną przewraca olbrzymie udo baranie, które na węglach ogniska się piecze.

— Na pamięć sławnych przodków twoich — mówił starzec do czarnookiego młodzieńca—zaklinam cię, Jerzy, porzuć swój niedorzeczny zamiar i wróć wraz z Miłozsem do rodzinnej wioski nad Sawą pienistą leżącej; wróć do starej matki i siostry, które w niepokoju każdą godzinę, — co mówię, każdą chwilę, czekając na was, przepędzają. Wróć do nich, gdyż to, co z bratem przedsięwzięliście, obecnie skutecznie się nie da...

— Ojcie Aleksy—odrzekł Jerzy głosem pewnym i dźwięcznym,—czy sądzicie, że istnieje na świecie siła, któraby mnie od celu tylu moich pragnień odwieść potrafiła?... Szanuję was, ojcze, boście druhem ser-

decznym byli mych rodziców; radę waszą cenię, gdyż nie cenniejszego niema pod słońcem, jak życzliwa rada człowieka, tak jak wy mądrego i doświadczonego. Lecz wybaczcie, że dziś pierwszy raz w życiu nie posłucham was i pójdę tam, gdzie mnie głos serca wzywa, pójdę wraz z bratem do tego grodu, ażeby dać wolność temu, który mi droższym jest nad własne życie.

Starzec westchnął głęboko, pochylił się i, przyłożywszy ucho do trawy nisko nad ziemią rosnącej, nadśluuchiwał.

— O tak, tak! — wyrzekł po chwili—obawy moje nie są płonne! Szum wielki słyszę i jęk, który po ziemi rozchodzi się, jakby w niej wrzało coś i kipiało, jakby gromy dalekie w niej grały... Czy słyszysz?...

— Nie słyszę, nie nie wiem, ojcze!

— Lecz ja słyszę, a słuch mój nie zawodzi nigdy!... Trzeci to raz już w mojem życiu tak ziemia jęczy, jak teraz. Kiedym był dzieckiem jeszcze i Turcy pierwszy raz na Serbję ciągnęli, tak też na trzy dni przedtem ziemia jęczała. Drugi raz, kiedym był już mężem i kiedy król węgierski z wielką siłą na Turków ciągnął, również słyszeliśmy ów szum i huk podziemny. A trzeci raz dziś... Kiedy tak ziemia jęczy, nieszczęście i trwoga bliska,—gdyż pod nogami tłumów zbrojnych i chciwych krwi chrześcijańskiej ona tak skarży się i żali... Trzeci raz ten jęk słyszę i nie wiem, jak wielkie on dziś nieszczęście nam wróży, lecz po pierwszym i drugim razie straszne, nigdy niezagojone na Serbję spadły klęski. Za pierwszym razem Turcy nietylko wycięli wojsko serbskie, ale i króla Łazara ściąć rozkazali, jak pierwszego lepszego żołnierza; za drugim rozbili połączone wojska królestw chrześcijańskich i naczelnego ich wodza, młodego kró-

8
la, pozbawili życia... Oj, i teraz nic dobrego ten jęk nie wróży, jeno nieszczęście, płacz, rozpacz!

— A z której strony, ojciec, ten huk słyszycie, od morza, czy od ładu?

— Ze wszystkich stron słyhać go—i z południa, i z północy, ze wschodu i z zachodu, lecz najwięcej z południa!... Wróć więc, Jerzy, do rodzinnej wioski, bo burza, która się zrywa, może cię porwać i rozbić o skały!...

Młodzieniec chwycił starca za rękę i do ust ją przycisnął.

— Ojciec—zawołał z przejęciem, — patrz na mury tego grodu, który u stóp naszych, opromieniony wiosennym słońcem, uśmiecha się i mile nas do swego wnętrza zaprasza... Ojciec! wszak dziesiątki mil przybyliśmy z bratem, ażeby gród ten ujrzyć, gdyż wiesz, jaki skarb w nim przebywa. Tam, ojciec nasz ukochany, którego od kilku lat nie widzieliśmy, w niewoli u poganina Turka jęczy i napróżno pomocy wzywa: nikt mu jej nie daje... Lecz godzina jego ocalenia zbliża się. Dziś zabraliśmy i mamy przy sobie kwotę potrzebną na jego wykupienie. Zapłacimy ciemniężcom, wiele wymagać będą, i ojca nad Sawę, wartko wody swoje u stóp wioski naszej toczącą — uprowadzimy. Niech starzec odpocznie w cieniu lip i jaworów, które nad głowami jego przodków szumiały...

— Godna pochwały i naśladowania gotowość twoja niesienia pomocy nieszczęśliwemu ojcu, lecz, pamiętaj Jerzy, że nie pora na to: zły czas przeczekać trzeba, gdyż burza straszna, niebywała już jest blisko, już odgłos jej po ziemi się rozchodzi. Ja opuszczam czempredziej to miejsce i spieszę w góry ostrzedz

9
nasze wioski, wsie i miasta, że w Adrjanopolu na niebywałą burzę się zbiera, że słyhać zewsząd odgłosy nadciągających zbrojnych tłumów, że młody sultan Mahomet—to tygrys, krwi cheiwy, zdobyczy łaknący... Wracacie więc ze mną, czy zostajecie? gdyż zaprawdę, mówię wam, zły czas wybraliście!

Mówiąc to, starzec powstał i na ścieżkę, wiodącą w góry, kroki swe zwrócił.

Powstał też od ogniska Jerzy i za nim żwawo pobiegł.

— Ojciec Aleksy — rzekł — żegnajcie mi!... Tembardziej nie pozwala mi serce opuścić ojca, gdy burza, jak mówicie, bliska... Postanowiłem wraz z Miłoszem wykupić go z niewoli i dopełnić tego muszę...

— Żegnaj, Jerzy Kardzewiczu! żegnaj, Miłoszu! Oby Bóg wasze zamiary ziścił!... Ja idę dalej... ostrzedz innych, gdyż burza nadciąga i odgłosy gromów już słyhać!

Gdy słów tych domawiał starzec, tuż za wzgórzem rozleżł się tentent kopyt końskich, zabrzęczały broje i ostrogi, rozleżły się nawoływania. Na dolinę wjechał oddział rycerzy lśniących od jedwabiu, złota i drogich kamieni. Pośrodku nich na białym koniu, przybranym w długi, srebrem tkany czaprak, siedział mąż lat sześćdziesięciu o twarzy surowej i czarnych, przenikliwych oczach. Za nim jechało sześciu paziów w pięknych, różnokolorowych szatach, na karych ognistych koniach. Przodem na bułanym rumaku prowadził cały orszak rycerz o dziwnie pięknem obliczu. Dzielność i męstwo, bijące mu z oczu, co chwila przyćmiewał smutek i zaduma. Za orszakiem sześciu roślących murzynów niosło bogatą, o złożonych brzegach lektykę, w której siedzieli dwaj o pomarszczonych twarzach

starcy, w długich, powłóczystych szatach. Dalej na czterech wielbłądach siedzieli Grecy w niebieskich ozapczkach, trzymając przed sobą niewielkie żelazne szkatułki. Gdy orszak ten przed zdumionymi oczyma naszych podróżnych rozwinął się, starzec z westchnieniem szepnął:

— Znam tego, co na białym koniu siedzi: to Łuka Notar, pierwszy minister cesarza greckiego, Konstantyna. Widziałem go w Carogrodzie, gdyśmy tam od naszego księcia z poselstwem o pomoc przeciw Turkom wysłani byli... Burza, która się zbiera, kto wie, czy nie na Greków pociągnie... Poselstwo to, jak widzę, nawet z darami dla sułtana i jego świty, do Adrjanopola zdąży; ale młodego tygrysa, sułtana Mahometa, nie ukolysz już Grecy tak, jak ojca jego Amurata...

— Więc to poselstwo z Carogrodu do sułtana? — pytał Jerzy.

— Tak.

— Jakaż to hańba! Cesarz Konstantyn śle pokłon poganinowi, wrogowi swemu, który mu co rok jakąś prowincję napadnie i jak wilk od całości państwa oderwie!

— Chciałbym mieć takie jedwabne ubranie, jak ci, co na karych koniach jechali—odezwał się pierwszy raz Miłosz, wyjmując upieczoną już baraninę.— Wszystkoby oddał za taką suknię.

— Wstydź się, Miłoszu—skarcił go Jerzy.— Czyż suknia dodaje wartości człowiekowi? Nie o tem w tej chwili powinienbyś myśleć...

— Patrz, Jerzy, patrz!—zawołał starzec, wskazując wychudłą ręką w stronę południową.— Czy widzisz, tam, na wzgórzu, za miastem...

Jerzy wyteżył wzrok.

Wdali, na wzgórzu, jak niezmierne stada wron, bocianów i jaskółek, zlatujących na wiosnę, czerniły się gromady jeźdźców. Na pogodnym tle nieba widać było białe płaszcze beduinów, długie tatarskie łuki, błyszczące broje Turków i wysoko powiewające buńczuki o złotych, promienistych półksiężycach. Gdzieś niedługo igrała z wiatrem olbrzymia chorągiew, a przy niej roily się tłumy wojaków...

— Czy widzisz, Jerzy, czy widzisz?—pytał wciąż starzec i, nie czekając odpowiedzi, zapatrzonego w to dziwne zjawisko jakby zpod ziemi wyrosłej armji, odwrócił się i szybko podążył w głąb wąwozu.

— Ojciec Aleksy!—zawołał Jerzy, budząc się z zadumy. Powiódł dokoła zasmuconemi oczyma, lecz starca nie było już widać.

— Jesteśmy pozostawieni własnym siłom!—rzekł, zwracając się do Miłosza i obejmując go ramieniem,— ale nie cofniemy się nigdy i ojca bez pomocy w tak pełnych niebezpieczeństwa czasach nie zostawimy!

— Czy ta pomoc się tylko na co przyda — mruknął Miłosz z przekąsem i usiadł koło ogniska...

Jerzy smutnie wzrok w ziemi utkwiał.

II.

Niezwykły wybawca.

— Co wy za ludzie?—zabrzmiął niemiły głos tuż nad uchem zadumanego Jerzego.

— Jerzy, broń mnie!—rozległ się krzyk Miłosza.

Młodzieniec odwrócił się szybko, lecz zanim zdążył chwycić za rękojeść małego sztyletu, który mu tkwił za pasem, już czyjeś żelazne ramiona wpoł go ujęły, a ktoś inny mocnym rzemieniem krępował mu ręce...

Szarpnął się Jerzy, jak lew młody, i nagle wyrwał się z żelaznych objęć napastników. Rzemienie jednak, krępujące mu ręce, nie ustąpiły.

— Co to jest?—krzyknął—jak śmiecie spokojnych podróżników zaczepiać u bram stolicy padyszacha?

Dopiero teraz ujrzał pięciu roślących drabów, z zakrzywionymi u pasa szablami, o zwierzęcym wyrazie oczu. Jeden z nich, o długiej, rudawego koloru brodzie, spokojnie wiązał ręce Miłoszowi.

Naprzeciw Jerzego stał Arab o śniadej twarzy i drapieżnych jak u jastrzębia oczach.

— Kto wy jesteście? pytam raz jeszcze!—zaskrzeczał po turecku Arab.

Jerzy i Miłosz znali ten język, gdyż nauczyli go się w domu przez częste stosunki z urzędnikami tureckimi.

— Pierwej ty odpowiedz, dlaczego jak zbójca napadłeś na nas?—odrzekł młodzieniec, błyskając pełnemi gniewu oczyma.

— Odpowiadaj, psi synu!—krzyknął Arab — bo przysięgam ci na Mahometa, iż za pięć minut wisieć będziesz.

— Jakiem prawem?

— Z rozkazu padyszacha, któremu oby Ałlach jak najdłuższego żywota udzielił raczył,—wszystkich szpiegów i włóczęgów taki los spotka!

— Jam nie szpieg, ani włóczęga!—odparł Jerzy.—

Idziemy wraz z bratem do Adrjanopola, ażeby ojca z niewoli wykupić...

— Nie wierzę temu, bo już od godziny mam was na oku i widziałem, że z jakimś starcem długie wiedzicie rozmowy. Starzec ten w oczach nam przepadł w gęstych zaroślach wąwozu, lecz pogoń wysłana za nim wkrótce go tu przywiedzie. To szpieg cesarza greckiego, wszak prawda?

— Na Boga! za kogo nas bierzecie? Starzec, z którym niedawno rozmawialiśmy, to czcigodny ojciec Aleksy, który całe życie swoje przepędził, wykupując z niewoli tureckiej jeńców serbskich.

— Zwyczajne to są tłumaczenia podobnych wam włóczęgów. Ale znamy się już na tem! Z rozkazu padyszacha, który oby jak najdłuższe dni na chwałę światu panował, będziecie powieszeni...

— Podłym jesteś ty i twój padyszach, jeśli niewinnych na śmierć skazujecie! — odrzekł z pogardą Jerzy i z taką błyskawicą gniewu w oczach spojrzął w twarz Araba, że ten zmieszał się i wzrok spuścił.

— Brać ich, chłopczy! — wrzasnął po chwili swym ochryplym głosem do stojących opodal drabów; zbliżył się do Jerzego i, grożąc mu pięścią, z wściekłością wołał:

— Na szubienicę! na szubienicę! za obrazę padyszacha! Obu was kruki dziobać dziś będą!...

I pijany z gniewu zbliżył się do wojaka z rudą brodą i zcicha rozmawiać z nim począł. Draby przystąpili do młodzieńców i, popychając ich, popędzili w głąb wąwozu, nie zapomniawszy zabrać upieczonej Miłosza baraniny. Szli tak z godzinę między zaroślami, mając nad sobą jasne południowe niebo, a po bokach wysokie, zielenią pokryte wzgórza. Nakoniec

dotarli do niewielkiej polanki, na której pały się swobodnie konie i stało kilka białych namiotów. Przed jednym z nich powiewał buńczuk z półksiężycem i kręciło się tu i owdzie kilkunastu zbrojnych ludzi. Wszyscy oni byli o śniadych twarzach i orlich nosach. Jedni mieli tureckie fezy na głowach, inni arabskie białe kaptury.

Jerzy w milczeniu przypatrywał się temu obozowisku, tak niespodzianie zza wzgórza wychylającemu się. Smutne myśli krążyły mu po głowie, niemiłe przeczucia napełniały serce.

— Kto są ci ludzie, dlaczego na śmierć go prowadzą?—pytał sam siebie w duchu i żałował szczerze, iż doświadczonych rad ojca Aleksego nie usłuchał, że lekkomyślnie naraził się na niebezpieczeństwo utraty życia.—Któż teraz wykupi starego ojca z niewoli, jeśli on z Miłoszem zginie? Młoda siostra, czy posiwała już matka?... Nie! Rad starszych zawsze słuchać należy! Ojciec Aleksy miał słuszość. Sułtan zamierza jakąś wielką wyprawę uczynić na ludy chrześcijańskie i zwołuje ze wszystkich stron tłum zbrojny, krwi chciwy, którego jedynym zajęciem palić, rabować i niszczyć... Czyż ludzie tacy będą mieli nad nim i Miłoszem litość, czy uwierzą ich słowom pełnym prawdy? Nie, po stokroć nie!... Oni dla błażej przyczyny pozbawią ich życia, ażeby tym sposobem przypodobać się i okazać gorliwość swemu władcy...

— Śmierć nas czeka! — rzekł Jerzy głośniejszym głosem do postępującego tuż przy nim Miłosza. — Bracie mój, bądź mężnym!...

Ale Miłosz płakał jak dziecko, powtarzając niewyraźnie:

— Och, po cóż tu przyszedłem! och. czyż nie lepiej było mi w domu! Nieszczęsny ja, nieszczęsny!

— Uspokój się, bracie—rzekł znowu Jerzy. — To wstyd płakać jak niewiasta! Bądź mężnym!...

— Ty zawsze powtarzasz twoje: bądź mężnym, Miłoszu! Czego ja mam być mężnym, jeśli za chwilę czy tak, czy owak, będę wisiał... Czy nie widzisz, jak ten przeklęty Arab na nas spogląda! O! Jerzy! Jerzy! dlaczego nie usłuchałeś ojca Aleksego. Toć on miał nam dopomódz odnaleźć ojca w niewoli, wszak z nim tu przyszliśmy, jego nam matka słuchać rozkazała! Oj, Jerzy, Jerzy!

Jerzy pochmurnym okiem spojrzął na brata.

— Jakto, więc ty byłbyś w stanie oddalić się, gdy już tak blisko byliśmy celu? gdy, zdawało się, za chwilę mieliśmy ujrzeć naszego drogiego ojca?... gdy mury Adrjanopola już tak blis...—przerwał, gdyż Arab przystąpił do niego i szybko odpiął mu rzemieniny trzos, w którym znajdowało się złoto, tak mozolnie przez długie lata na wykupienie ojca zbierane.

— Złoczyńca!—rzekł Jerzy przez zaciśnięte zęby.

Arab szybko uniósł złoto do namiotu. Oczy jego błyszczały chciwością i radością.

Za nim pobiegł i ów z rudą brodą. Dowódcy to widać byli, gdyż wszyscy przed nimi z uszanowaniem pochyłali głowy.

Gdy się znaleźli w namiocie, rudy aż zatarł ręce z radości, wydając przytem pełne zadowolenia okrzyki.

— Och! złoto! złoto! Już dawno nie mieliśmy tak szczęśliwego połowu. Co za dzień szczęścia!

Arab o jastrzębich oczach w milczeniu wysypał złoto na niewielki dywan i począł liczyć.

Wtem u wejścia do namiotu rozległy się czyjeś kroki.

— Kto tam? — zapytał Arab, przykrywając pieniądze dłońmi.

Do namiotu wszedł żołnierz.

— Co jest, czego niema? — zapytał Arab turekim zwyczajem przybyłego.

— Ago Nemendi—odrzekł tenże—pogoń za starcem wysłana wróciła.

— Czy przywiodła tego szpiega? Na szubienicę z nim!

Żołnierz milczał.

— Mów, synu Hamida—zaczął znowu Arab.

Żołnierz odrzekł:

— Zbieg uszedł pogoni! Przepadł, jak kamień w wodzie! Przeszukaliśmy wszystkie zakątki, nigdzie go niema!...

— Idź, synu Hamida, spełniłeś, co do ciebie należało!—rzekł Arab. Żołnierz wyszedł.

Po jego wyjściu Turek o rudej brodzie zbliżył się do Araba.

— Ago Nemendi—rzekł przytłumionym głosem.—Tych młodych psów trzeba prędko uprzątnąć! Ten o czarnych oczach ma silne, ostre kły i, choć na uwięzi, pokąsać może... Przytem, gdyby ktoś doniósł kadiemu...

— Masz słuszość, Ryzydi: umarli tylko milczą i o wszystkim zapominają.

— A więc...

Aga Nemendi klasnął w dłoń.

Do namiotu wszedł żołnierz.

— Weź pięciu ludzi i w Orlim Jarze powieść każ schwytyanych przez nas dwóch młodych szpiegów

greckich. O nic ich nie pytaj, nic na ich pytania nie odpowiadaj... Rozumiesz?...

— Stanie się, jak rzekłeś!—odpowiedział z pokłonem żołnierz, wychodząc z namiotu.

Wkrótce oddział złożony z sześciu ludzi, między którymi ze spuszczoną smutnie głową szedł Jerzy, a przy nim zanoszący się od płaczu Miłosz, postępował ścieżką stromą między urwiste skały i szumiące drzewa. Po kwadransie czasu oddział począł się spuszczać na dno chłodnego o wilgotnych skalistych ścianach jaru. Powietrze było tu duszne, przepełnione niezdrowymi wyziewami. Pod nogami Jerzego pełzały jaszczurki, prześlizgały się powoli węże, wysuwając żądła. Stado sępów unosiło się w przestworzu nad jarem, jakby w oczekiwaniu na bliską strawę.

— Boże mój, Boże!—jęknął Jerzy z boleścią, widząc, że przy olbrzymim dębie o rozłożystych konarach zatrzymali się żołnierze i jeden z nich, chłop silny, o szerokich ramionach, zarzucił sznur na gałąź drzewa, a drugi podstawił mały stołek.

Na stołku postawili Miłosza i oprawca o szerokich ramionach założył mu pętlicę na szyję.

— Na pomoc! ratuj, kto żyw!... — krzyknął w tej chwili Jerzy, widząc, że Miłosz niedługo zawiśnie w powietrzu.

— Na pomoc! — krzyknął znowu i z taką siłą szarpnął skrepowanemi rękoma, że sznury ustąpiły.

Strwożeni oprawcy odskoczyli na stronę od wściekłego z gniewu młodzieńca. Olbrzymia jego siła zadziwiła ich. Korzystając z chwilowego zamieszania, Jerzy mógłby być ujęć, ale czyż dla ocalenia własnego życia taki szlachetny, jak Jerzy, młodzieniec, opuściłby brata w niebezpieczeństwie?

O, nigdy!...

— Stój! Ani krokiem w prawo ani w lewo, w tył ani naprzód!—zabrzmiął głos dowódcy oddziału, i sześć błyszczących jataganów zawisło nad głową Jerzego.

— Jedno ruszenie, a głowa twoja potoczy się z karku!—groził Turek.

Młodzieniec zawahał się.

Tymczasem chwila już tylko oddzielała Miłosza od śmierci. Nagle pobliskie zarośla rozchyliły się i czterech jeźdźców na karych rumakach, bogato przybranych, ukazało się na polance. Ten, co jechał przodem, o czarnej jak skrzydło kruka brodzie i oczach dużych, a jak brylanty świecących, zawołał głosem silnym, pewnym, do rozkazywania przywykłym.

— Kto są ci ludzie i za co ich tracicie?

— A wam co do tego!—odrzekł dowódca oddziału i hardym wzrokiem zmierzył pytającego.—Hej! chłopcy—rzekł, zwracając się do oprawców — kończcie waszą robotę!

Stołek z pod nóg Miłosza powoli zaczął się usuwać i straszna pętlica cisnęła mu już szyję...

Rozległo się ciche klaśnięcie w dłonie i niegłośnie gwiźnięcie.

Klasnął w dłonie i gwiznął rycerz o czarnej, jak skrzydło kruka, brodzie...

I to, co się na owo ciche klaśnięcie i świst stało, wydało się Jerzemu jakimś nadziejskiem, fantastycznym widziadłem. Ze wszech stron dno, boki i skały jaru pokrył tłum barwny, jaskrawy, od złota świecący. Byli to przeważnie młodzieńcy na zwinnych karej maści arabczykach, w błękitnych i czerwonych fezach na głowie. Uwijali się oni wśród zarośli, jak rój różnobarwnych motyli, i nim Jerzy na chwilę

ochłonął ze zdziwienia, już zbitą masą okrzykli rozpaczliwie broniącego się Miłosza i jego oprawców.

W moment go uwolniono i wraz z Jerzym przed niezwyklego wybawcę przywiedziono.

— Panie—rzekł Jerzy—nie wiem, kto jesteś, lecz dzięki ci za pomoc wobec przemocy i gwałtu. Jesteśmy, ja i brat, Serbami i szliśmy do Adrjanopola wykupić z niewoli naszego ojca. Od czasów Warneńskiej bitwy jęczy on w kajdanach. Ojciec Aleksy niedawno nam doniósł, że za okupem możnaby ojca uwolnić, że przebywa w Adrjanopolu; ale, doprowadziwszy nas pod mury tego miasta, nagle cofnął się, mówiąc, że zamiar nasz nie uda się, gdyż niezwykle rzeczy dzieć się w bliskiej przyszłości mają, że sułtan nieprzeliczone wojska zbiera i niemi świat cały podbić zamierza. Myśmy doświadczonych rad jego nie posłuchali, nie opuścili miejsc tych wraz z nim natychmiast i omało śmiercią za to nie przypłaciliśmy. Jacyś zbrojni ludzie schwytali nas, złoto, tak mozolnie na wykupienie ojca zbierane, zabrali i nas za szpiegów wzięwszy, stracić rozkazali. Resztę, wiesz, panie, bo gdybyś był o pięć minut swą pomoc opóźnił, nie stałbyś nas przy życiu.

— Jak zowią waszego age? — zapytał nieznanym rycerz napastników.

— Nemendi, a jego pomocnika Rzyydi!

— Obu tu przywieść natychmiast.

Kilkudziesięciu jeźdźców, jak stado sokołów, puściło się w głąb jaru.

Tymczasem Jerzy i Miłosz badawczym wzrokiem przyglądali się swemu wybawcy.

Jego skromna czarna szata rażąco stanowiła przeciwieństwo z bogatymi strojami otaczających go jeźdźców.

Poważny wyraz twarzy i zaduma niezwykle na widzu czyniły wrażenie. Oczy tylko chwilami niemiłe rzucały odbłyski. Przebijały się w nich okrucieństwo, przebiegłość i duma.

— Kto może być ten rycerz tajemniczy?—myślał Jerzy. — Czy będzie on dla nas względniejszy od tych, którzy skazali nas na śmierć?

Nagle wśród parowu zatentniały końskie kopyta, i wkrótce ukazali się jeźdźcy. Byli to wysłańcy, którzy obu agów przywiedli przed nieznanego rycerza.

Ten zapytał:

— Znacie mnie?

W miejsce odpowiedzi agowie padli twarzą na ziemię i niskie poczeli bić pokłony. Przestрах malował się na ich pobladłych twarzach, zęby szczękały im, jak w febrze.

— Wy skazaliście tych oto młodzieńców na śmierć?—pytał dalej.

Agowie kiwali głowami na znak potwierdzenia.

— Za co?

— Szpiegi to... — wyrzekli zcicha, dzwoniąc zębami.

— Gdzie dowody?

Agowie padli znowu twarzą na ziemię. Dowodów żadnych nie mieli.

Rycerz surowo brew ściągnął.

— A gdzie ich pieniądze?

Agowie skurczyli się, jakby ich to pytanie boleśnie ukłuło.

— Pieniądzy nie było... niema... — jękali.

— Podli! — krzyknął z gniewem rycerz i od pacholka odebrał trzos Jerzego.

Oddając trzos, pacholek coś mówił do rycerza.

— Wysłańcy moi zastali was, gdyście to złoto liczyli, zkąd wzięliście go?

— To nasze własne!—tłumaczyli się agowie.

— Jako żywo fałsz to!—krzyknął nagle Jerzy. — Trzos ten należy do mnie.

— On kłamie!—odrzekli agowie, podnosząc ręce do góry, jakby wzywać chcieli niebios na świadka słów swoich.

— Jeśli tak — odrzekł Jerzy — to powiedzcie jaki wewnątrz trzosa jest wyszyty napis? Matka mi moja tam go wyszyła.

Złoczyńcy zawahali się w odpowiedzi.

— No, mówcie! każdy rzecz, którą za własną uznaje, znać musi dokładnie...

Agowie milczeli, leżąc twarzami do ziemi.

Był to najlepszy dowód, że trzos nie był ich własnością.

Wówczas Jerzy rzekł do nieznanego rycerza:

— Widzisz, szlachetny panie, że ci agowie kłamią. Na dnie mojego trzosa wypisane są słowa w języku serbskim, które brzmią: „Z Bogiem a prawdą.” Sprawdź panie, słowa moje.

Rycerz rozwinął trzos i długo przypatrywał się, napisowi. Nie znał widać języka, w którym wyszyte było zdanie, przez Jerzego wypowiedziane. Skinął więc na jednego z jeźdźców świty i dał mu napis do odczytania.

— „Z Bogiem a prawdą!” — rzekł tenże w serbskim języku.

Wina agów była dowiedziona.

Nie przewidywali znać lekkich ztąd dla siebie następstw... Drżąc, leżeli na ziemi, bełkocząc coś bez związku.

Nieznany rycerz szepnął słów kilka do swych przybocznych. Ci skoczyli z koni i, zanim Jerzy zdążył spojrzeć za nimi, już schwycili leżących agów i, uniósłszy ich na przygotowane dla Jerzego i Miłosza miejsce stracenia, zarzucili im pętlice na szyję. Jerzy chciał prosić o przebaczenie dla nich, lecz tajemniczy rycerz klasnął w dłonie i cały ten dziwny a świetny orszak opuścił Orli Jar, wprowadzając ze sobą oniemiałych ze zdziwienia Jerzego i Miłosza.

W jarze, przed chwilą tak jeszcze pełnym życia i gwaru, jak za skinieniem różdżki czarodziejskiej, wszystko ucichło i opustoszało.

Tylko na rozłożystych konarach olbrzymiego dębu chwiały się ciała dwóch wisielców.

Byli to dwaj agowie...

III.

Na dworze sułtana.

Na początku drugiej połowy 14-go wieku, w czasie, kiedy się opowiadanie nasze rozpoczyna, Adrjanopol był stołecznem miastem wzrastającego już w potęgę państwa Tureckiego. Miasto opływa rzeka Maryca, zdobia bogate pałace, świątynie, kioski, bazy,

a po ulicach jego przesuwa się różnobarwny tłum przechodniów, złożony przeważnie z Turków, Greków i Arabów. Niedawno jeszcze, bo przed kilkudziesięciu laty, Adrjanopol należał do cesarstwa Greckiego, jako drugie miasto po Konstantynopolu, lecz zdobyty przez Murada I, który po ojcu odziedziczył tytuł padyszacha i wiele złego przyczynił państwu Bizantyńskiemu, stał się siedliskiem cesarzów tureckich. Ztąd to co rok wychodziły liczne hordy azjatyckiej dziczy i karne oddziały niezrównanej piechoty, janczarami zwanej, na podbicie ziem chrześcijańskich. Po Muracie I, który był trzecim z rzędu władcą nowopowstałego państwa, w Adrjanopolu panowali: Bajazet zwany Ilderim czyli Błyskawicą, który spustoszył ziemie cesarstwa Bizantyńskiego aż po mury Konstantynopola i na ówczesnego cesarza Manuela nałożył haracz; — Mahomet I-szy, utrzymujący z Grekami przyjazne stosunki, gdyż po bitwie pod Angorą Tatarzy mocno zachwiali potęgą otomańską; następnie panował Murad II-gi, który, urósłszy w siły, znowu stał się groźnym dla Bizancjum. Na czele licznej armji obległ Konstantynopol i byłby to miasto zdobył, gdyby nie nagłe powstanie w Azji Mniejszej, a później walki z Wenecjanami, Słowianami południowymi i połączonemi państwami zachodniej Europy. Walki te, w większej części zwycięskie, wzmocniły, a nawet do tego stopnia ugruntowały potęgę państwa Tureckiego, że oddawna już łakomy dla jego władców kąsek—Konstantynopol, stał się celem zabiegów Mahometa II-go, syna Muradowego.

O młodym władcy kroniki świadczą, że był wielce przebiegłym, że zdradzał każdego polegającego na umowach, a okazywał się zawsze jako pokój

miłujący i Grekom przyjazny. Pokój miał młody sultan na ustach, a zaborcze zamiary w sercu. Układnością i przebiegłością umiał oszukać czujność Greków i, mniąc się przyjacielem cesarza Konstantyna XII-go, w głębi serca gotował mu zgubę, — zbierał, obliczał i wzmacniał już i tak olbrzymie swe siły.

Wobec potęgi Mahometa II-go Bizancjum było prawie bezbronem, gdyż targaty je wewnętrzne niezgody; wynikały one z nieokiełznanej dumy magnatów, z walk różnorodnych stronnictw, ospałości wzbogaconego mieszczaństwa, które tylko o swoich wygodach i osobistych zachciankach myślało, — wreszcie z upadku ducha rycerskiego wśród nielicznego wojska i ciemnoty umysłowej niższych warstw społecznych. Było wprawdzie małe grono ludzi, na czele którego stał sam cesarz Konstantyn XII Paleolog, ożywione wszystkimi cnotami dawnych Rzymian. Grono to wobec zatrważającej potęgi tureckiej nie zwiększało się jednak, ale zmniejszało. Smutny to był objaw wewnętrznej niemocy potężnego niegdys Bizancjum.

Słońce schylało się już ku zachodowi, gdy świetny orszak z nieznanym rycerzem na czele wjeżdżał w bramy Adrjanopola. Jerzy i Miłosz, siedząc na dzielnych rumakach, które im pacholcy podali, cwałowali z boku owego orszaku, ciekawie rozglądając się dokoła. Przebywszy dzielnicę o niskich, małych domkach, przed którymi kramarze sprzedawali swoje towary, wjechali w ulicę równo wybrukowaną, o domach pięknie zbudowanych, otoczonych zielenią drzew, pełnych zapachu kwiatów i szmeru rozkosznie kryształowymi kaskadami bijących fontan.

Przed jednym z takich domów, a raczej pałaców, zatrzymał się świetny orszak.

Dworzec to był wielce okazały. Marmurowe kolumny i maurytańskie łuki wychylały się co chwila z pośród zieleni modrzewi i klombów kwiatowych, a promienie słońca zabarwiały tęczą brylantowe kaskady wodotrysków. W czarodziejskim tym dworcu napozór niczem niezamącona panowała cisza. Lecz, gdy przed bramą jego zabrzmiał tentent koni, dziedziniec ożywił się nagle, jakby na skinienie wieszczki w baśni czarodziejskiej. Ukazali się rycerze w świetnych zbrojach, karliki w jaskrawych ubiorach i żołnierze z bronią w ręku.

— Wielki to widać pan ten nieznamy rycerz — pomyślał sobie Jerzy — jeśli tak liczny i bogaty poczet sług trzyma.

Wtem rycerz, wstrzymując białą, jakby kobiecą, ręką swego arabczyka, zwrócił się do Jerzego i Miłosza:

— Młodzieńcy! dzień spotkania się ze mną pragnę, abyście zachowali w swem sercu miłe i bez goryczy. Kim jestem, dowiecie się wkrótce, lecz gdy się dowiecie, nie wspominajcie o tem nikomu. Jam jest ten, co wiele może. Kto ze mną, ten nigdy nie żałuje tego. Dziś na drodze mojej spotkałem was i pragnę przyczynić się, o ile można, do szczęścia waszego. Żołnierze, podwładni moi, o mało nie odebrali wam życia, należy wam się za to nagroda! Mówcie więc, żądajcie, czegobyście w życiu pragnęli, a ręczę wam, że otrzymacie!

Jerzy i Miłosz pochylili głowy na znak podziękowania.

— Szlachetny panie — rzekł Jerzy — ocaliłeś nam życie, czyż to jeszcze mało? czyż może ktoś więcej dla nas uczynić?

— Młodzieńcze—odparł rycerz—czas mój, to brylant niezrównanej ceny... Mów więc spieszniej, czego byś pragnął?

Jerzy zamyślił się. Po chwili zawołał:

— Ojca, ojca ukochanego pomóż mi odszukać! Z niewoli go uwolnić dopomóż...

W miejsce odpowiedzi rycerz szepnął słów kilka jednemu z otaczających.

— Skończyłeś?—zapytał krótko Jerzego, rzucając nań wzrokiem, tyle mającym w sobie potęgi, że młodzieniec mimowoli spuścił oczy.

— Skończyłem!—odrzekł cicho.

— Mów ty, na ciebie kolej! — rzekł rycerz do Miłosza.

Ten prędko mówić począł:

— Panie, och, panie! Jeśli mi masz co dać, to daj mi takiego pięknego konia, na jakim sam siedzisz, daj takie pozłociste ubranie, jakie ci młodzieńcy mają, pałac mi piękny daj; złota i srebra tyle, abym żyć mógł wygodnie; i sługi na rozkazy mi daj, ażebym, sam nic nie robiąc, w przyjemnościach opływał, jak pan wielki...

— Skończyłeś?—zapytał rycerz chłodno.

— Nie jeszcze, panie. Daj mi też kucharza tak wytwor nego w swym kunszcie, ażebym najsmaczniejsze potrawy mógł jadać: gołąbki, kuropatewki, słowicze języki, rajskie ptaszki...

— Dosyć!—rzekł, brew czarną marszcząc, rycerz. — Pragnieniu twemu zadosyć uczynię! Ale na Ałacha! mógłbyś czegoś godniejszego mężczyzny życzyć sobie. Myślałem, że w twym wieku prędzej o zbroję, o miecz poprosisz...

Mówiąc to, z niecierpliwością odwrócił się i na

dziejnieniec wjechał. Tu naraz zniknął wśród gęstej kwiatów i krzewów zieleni.

— Zsiadajcie!—zawołał na Jerzego Turek o pięknej, męskiej postawie.

Jerzy rażno zeskoczył z konia, za nim wolno, jakby z żalem, Miłosz.

— Pójdźcie za mną!—rzekł znowu Turek.

— Dokąd?—zapytał Jerzy.

— Tam, gdzie to, o co prosiliście pana mojego, któremu oby Ałach nieskończonego nigdy żywota w zdrowiu i szczęściu udzielać raczył, wręczone wam będzie.

— Jakto, więc ojciec mój w tym pałacu przebywa? Co za szczęście!

— Jakto, więc będę bogaczem, będę panem, będę miał konia?—pytał Miłosz z radością.—O, Jerzy, pójdźmy tam, pójdźmy!

Turek nie odrzekł i, idąc przodem, wprowadził obu młodzieńców do komnaty miękkimi, przepysznej roboty dywanami pokrytej, z jedwabnymi kanapami dokoła ścian, w drogie makaty i świeczniki szczerozłote zdobnych. Z podziwem przyglądali się młodzieńcy temu przepychowi.

— Baszą jakimś znacznym ów nieznany rycerz być musi—myślał Miłosz,—kiedy takie wspaniałe ma komnaty.

Jerzy mniej zważał na przesuwające się przed oczyma bogactwa. Myśl jego ojcem i prędkim jego oswobodzeniem zajęta była.

Jakżeż to cieszyć, jak radować się będzie siwa jego matka, gdy ich powracających z Miłoszem i ojcem ujrzy! Jakże ich wówczas błogosławić będzie!

Wtem Turek zatrzymał się.

— Siadajcie—rzekł—na tym dywanie. Pan mój zaraz z wami mówić będzie.

Powiedziawszy to, oddalił się. Wkrótce zakołysała się, zaszeleściła jedwabna zasłona u wejścia i do komnaty wszedł, a raczej wsunął się, starzec o długiej, siwej brodzie, w białym zawoju na głowie, w szerokiej, bogato srebrem i złotem lamowanej szacie i pantoflach, na których jak iskry, lub krople rosy porannej, błyszczały brylanty.

— To chyba sam padyszach! — przebiegło przez myśl Jerzemu—bo któżby inny tyle bogactw na sobie mógł nosić? To chyba on...

I Jerzy z Miłozem z miejsc powstali, schylając głowy.

— Piękni, obydwaj dorodni jesteście! co za wzrost, co za siła w oczach! — zaczął mniemany padyszach i oglądał na wszystkie strony młodzieńców, cmokając językiem.

Jerzy niecierpliwie wzruszył ramionami.

— Nie jestem koniem—mruknął,—aby mój wzrost i siłę podziwiano...

Za to Miłosz uśmiechał się przyjaźnie do starca. Ten usadowił się wygodnie na bogatym dywanie i skinął na młodzieńców, aby to samo uczynili.

— Kto jesteście—wiem, z kąd przybywacie—wiem, czego pragniecie — również wiem; czegoż więc mógłbym się od was dowiedzieć?

— Raczej ty, panie, powiedz, kto jesteś i dlaczego nas tu trzymasz?

Starzec przymrużył swoje siwe, przenikliwe oczy, wąskie usta jakby do uśmiechu wykrzywił i z przesadą głosem słodkim mówił:

— Bo was kocham więcej, niż wy sami się ko-

chacie, więcej, niż ktokolwiek na ziemi kochać was może...

— Nie znamy was!—mruknął Jerzy, któremu zachowanie starca dziwnem się wydało. — Warjat, czy co?—myślał w duchu.

— O, wierz mi, młodzieńcze! każdy Turek i każdy wyznawca wielkiego proroka Mahometa—mówił, ozywając się starzec,—każdy z nich, choćby ich nikt nie zliczył, gdyż liczba ich większa, niż kropel w chmurach, niż gwiazd na niebie, niż ziarenek piasku na dnie morza, każdy z tych wyznawców proroka, który nie miał sobie równego pod słońcem, każdy dziś kocha cię więcej od własnej twej matki! O, tak! wierz mi, młodzieńcze!

— Warjat!—pomyślał Jerzy—prędzejbym z psem wszedł w przyjaźń, aniżeli z Turkiem! Za coby mię więc owo pogaństwo czcić i uwielbiać miało... Jakom żyw, ten starzec cierpi pomieszanie zmysłów...

Turek znać przeniknął myśli Jerzego, gdyż, mrugnawszy oczkami, zapytał:

— No, cóż, a wy kochacie mnie?

— Kochamy! o, tak, kochamy! — odrzekł Miłosz i, wpatrując się w brylanty bogacza, przysunął się do niego.

— Miłozu! — skarcił brata Jerzy, rzucając nań chmurne wejrzenie. — Miłozu, cóż to znaczy? Czyż przyjaźń na czczych słowach i zwodniczych uśmiechach polega? Dziwi mnie twe postępowanie...

Ale Miłosz, nie zważając na słowa brata, wziął z ręki Turka bogaty wachlarz i bawić się nim począł. Wachlarz mienił się od złota i drogich kamieni.

— Widzę, że cię to bawi — rzekł starzec.—Weź sobie więc, weź ukochany mój synu, bracie, ojczy,

kochany Miłoszu! A co, czy Miłozsem cię zowią? he?...

— Tak — potwierdził Miłosz, topiąc całą uwagę w otrzymanym tak wspaniałomyślnie darze.

Jerzy, brwi gniewnie ściągając, powstał z miejsca.

— A to co? — spytał Turek niespokojnie.

— Idę ztąd precz!

— Dlaczego? czyż cię nie przyjmuję, jak baszę? Wraz z tobą na dywanie siedzę... wszakżeż serce ci moje pełne gorącej przyjaźni oddaje...

— Na co nie zasłużyłem, tego nie przyjmuję! — odparł Jerzy. — Nie znam was, ni waszej przyjaźni...

— Lecz ja cię znam! — żywo zawołał Turek. — Tyś dziś najszczęśliwszy pomiędzy szczęśliwymi. Ty i brat twój jesteście najszczęśliwszymi pod słońcem!

— Powiedz, dlaczego?

Turek podniósł obie ręce do góry i, nadając swej pomarszczonej twarzy wyraz zachwyty i uroczystości, zawołał:

— Bo was spotkało to, do czego królowie, księżta, potężni panowie i miliony ludzi nadaremnie wdychają, za co każdy prawowierny życieby oddał: wyście widzieli i rozmawiali z największym, najpotężniejszym, najmędrszym, najświetniejszym, którego przymiotów niktby nie wyliczył, najwznioślejszy rozumby nie pojął — wyście rozmawiali z padyszachem!

Tu starzec ręce na piersiach złożył i, siedząc, głową do samej ziemi pokłony bić począł. Na twarzy jego malowało się zachwycenie. Jerzy w zdumieniu na niego spoglądał. W myśli przesuwaly mu się obrazy dnia przebytego.

— Więc nieznany rycerz, więc ich wybawca, ten o czarnej jak skrzydło krucze brodzie i ognistych

oczach młodzieniec miałby być jednym z najpotężniejszych władców świata? miałby być owym groźnym sułtanem, przed którym drżało całe chrześcijaństwo, padały w proch ziemie, księstwa, królestwa? przed którym drży wielkie Bizancjum?...

Starzec przeniknął myśli młodziana, gdyż, podnosząc głowę, zawołał:

— A co, czy nie szczęśliwi jesteście? Nietylko mówiliście z padyszachem, ale on was od śmierci wybawił i tu do swego pałacu przywiódł! O, wielkie jest wasze szczęście!

Miłosz uśmiechał się, bawiąc się wciąż wachlarzem.

— Bardzo szczęśliwi jesteście, gdyż prócz tego padyszach rozkazał mnie, Kalilowi paszy, swemu pierwszemu wezyrowi, ugościć was i obdarzyć stosownie do wyrażonych mu przez was przy wjeździe do pałacu życzeń.

Teraz Jerzy, jak we śnie, spoglądał dokoła, nie wierząc uszom i oczom swoim. Zdawało mu się, że to, na co obecnie patrzy, snem jest tylko, marzeniem dziwnem, które za chwilę zniknie, jak bańka mydlana. Jakto? więc oni oba z Miłozsem znajdują się w pałacu jednego z najpotężniejszych władców? Mówią z jego pierwszym ministrem? Jakież to wszystko dziwne!

Wezyr klasnął w dłonie.

— Sorbety, mięso i ciasta! — rzekł do pokornie we drzwiach ukazującego się pokojowca.

Ten stał wciąż.

— A co? — zapytał wezyr, rzucając nań bystre wejrzenie. — Czy kto chce wejść?

— Jak rzekłeś, panie!—odpowiedział sługa.

— Niech wejdzie!

— Ale... ale... moi ukochani synowie—zwrócił się wezyr do zadumanego Jerzego i bawiącego się wachlarzem Miłosza. — Padyszach, któremu oby Ałach jaknajdłuższego żywota udzielić raczył, rozkazuje wam do nikogo ani słowa o tem, co was dziś spotkało, nie mówić. Jest prawo, że nikt padyszachowi w oczy spojrzeć nie może, prócz tych, którzy dwór jego stanowią. Ktoby powiedział lekkomyślnie, że widział padyszacha, ten kłamałby, zasługując na wylupienie oczu i wbicie na pal. O, wy tego nie uczynicie...

— Nie, nie, nie...—odrzekł prędko Miłosz.

Jerzy wciąż milczał ponuro.

Zasłona u wejścia znowu zaszeleściła, rozchyliła się i do komnaty dwóch mężów w poważnych szatach weszło zwolna i majestatycznie. Za nimi postępował młodzieniec o dziwnie ujmującym wyrazie twarzy, mając tuż za sobą męża o czarnych przenikliwych oczach i wyniosłej postawie.

Wielki wezyr kiwał przybyłym przyjaźnie głową i ręce obyczajem wschodnim na piersiach składał.

Jerzemu zdawało się, że zna tych, co przybyli, że widział ich już, ale gdzie i kiedy, przypomnieć sobie nie mógł. Dopiero, gdy o uszy jego obilo się pytanie wezyra: „Co słyhać w Carogrodzie?” przyszło mu na myśl, że to są ci mężowie, o których mu zrana ojciec Aleksy mówił, gdy u stóp wzgórze z darami do Adrjanopola dążyli. Tak, to są ci sami! Ojciec Aleksy mówił wtedy, że ich zna, że to posłowie cesarza bizantyńskiego. Ten młodzieniec, o tak ujmującym wyrazie twarzy, jechał na bułanym rumaku, prowadząc orszak; ten za nim stojący o majesta-

tycznej postawie, siedział na siwym biegunie. Ojciec Aleksy nazwał go pierwszym ministrem cesarza Konstantyna, Łuką Notarem. Jerzy przypomina to sobie teraz. Ci dwaj starcy o białych włosach i pomarszczonych twarzach siedzieli w lektyce, którą dźwigali murzyni. Tak, to ci sami, i jeśli się ojciec Makary nie mylił, są to posłowie cesarza bizantyńskiego.

Domysły Jerzego potwierdziło pytanie Kalila paszy:

— Co słyhać w Carogrodzie?

Wezyr po przyjacielsku traktował przybyłych. Ci też nie szczędzili mu pełnych przyjaźni uśmiechów. Pokojowcy wnieśli sorbety, ciasta i różne napoje, stawiając wszystko na małych, okrągłych stoliczkach. Kalil zapraszał gości, częstował, nie pomijając Jerzego ani Miłosza, których nazywał swymi ukochanymi synami. Starzec, którego zwano Łuką Notarem, siedział obok wezyra i żywą z nim wiódł rozmowę. Tylko niektóre zdania wyraźniej słyszeć się dawały, przeważnie zaś rozmawiali cicho, jakby bojąc się, ażeby przez innych usłyszani nie byli.

— Ależ to szaleństwo! — syczał Kalil, uderzając swemi wychudłemi rękami o dywan, — to szaleństwo! Jego Wysokość tu? po co?

— Chciał na własne oczy ujrzeć potęgę waszą i przekonać się, czy będzie mógł zwalczyć ją lub oprzeć się jej...

— Ależ ja o tem wiedzieć nie chcę, Notarze! Wasza dostojność, wiedz o tem, że ja o niczem nie wiem, wiedzieć nie chcę, nie mogę! Ach! cóżby to było, gdyby padyszach, któremu oby Ałach jak najdłuższego żywota udzielić raczył ku uszczęśliwieniu świata, cóżby to było, powtarzam, gdyby padyszach o bytności

Jego Wysokości cesarza Bizancjum tu, pod bokiem, w stolicy, we własnym dworcu, dowiedział się... Drzę na myśl samą... Patrz, Notarze, patrz wasza dostojność, drzę, jak liść różany!

I wielki dostojnik państwa tureckiego w istocie drząc począł nerwowo.

Notar pochylił mu się do ucha i szeptał coś długo. Twarz Kalila wypogadzała się, coraz to była jaśniejszą, dreszcz, który wstrząsał jego ciałem, ustawał i wkońcu przeminął zupełnie.

— Złoto i brylanty murzyni wnieśli do komnat waszej dostojności. Jedwabie i adamaszki przywiozą wam kupcy weneccy w tych dniach. O, wasza dostojność nie będziesz narzekał na hojność cesarza wschodniego!...

Kończył swą cichą przemowę Notar, a Kalil z zadowolaniem już gładził swoją siwą brodę.

— Pokaż mi go?—rzekł szybko do Notara.

— Cesarza?

Kalil skinął głową potwierdzająco.

— Młodzieniec, który siedzi naprzeciw ciebie — odrzekł Grek — i badawczo w twarz twoją się wpatruje, jest następcą Paleologów... Czy poznałeś go?

Turek przenikliwy wzrok utkwił w pięknej twarzy Konstantyna XII; chwilę tak trwał, a następnie, ręce na piersiach złożonywszy, wschodnim obyczajem, kiwając się, pokłon mu oddawał.

— Ale o niczem nie wiem, o niczem wiedzieć nie chcę! — szeptał.

— Przecież jako posłowi nie grozi mu żadne niebezpieczeństwo?—mówił pytająco Notar.

— Lecz jako cesarzowi...—zaczął równie pytająco

Kalil, rzucając ukośne spojrzenie w stronę Miłosza i Jerzego, którzy z uwagą śledzili każdy ruch jego.

— Jako cesarzowi... — powtórzył Notar. — Wszak o tem mowy niema, wszak o tem nikt nie wie w państwie Ottomańskim...

Kalil przymrużył swe siwe oczy.

— O, tak!—odrzekł—o tem nikt nie wie, nikt nie wiedział i nikt wiedzieć nie będzie, nie może, gdyż padyszach, któremu, oby nieba jak najdłuższego żywota udzielać raczyły, karać umie...

Tu Kalil, jakby dla zatarcia niemiłego wrażenia na wspomnienie kar padyszacha, chwycił filiżankę z limoniadą i chciwie pić począł.

— Pan mój — mówił dalej Notar — jest zdumiony olbrzymiemi siłami wojennemi, które padyszach wokół Adrjanopola ściąga. Stolicę waszą okrążają tłumy zbrojnych spahów, wyborowych janczarów i nieprzeliczone watahy dziczy azjatyckiej. Ty wiesz, Kalilu, że od węgierskiej strony panuje cisza, że despota serbski trwa w posłuszeństwie sułtanowi i szle mu swe wojska, że Wenecjanie niczem mu nie zagrażają, w Azji też cisza panuje po przytłumieniu ostatniej rebelji, — przeciw komuż więc takie siły zbieracie? Kto wam grozi? Wszak z nami pokój przez Mahometa podpisanym? Wreszcie wiedz, Kalilu, że nas te zbrojne tłumy waszej dziczy nie zastraszą, że dość kilku oddziałów naszych rycerzy, ażeby rozpedzić tę dzicz nieprzejrzaną.

Kalil szybko podniósł głowę, stawiając filiżankę na stole.

Po czole jego przebiegło zaszepienie, siwe, krzaczyste brwi ściągnęły się groźnie.

— Więc z tem tu przybyliście?—zapytał głosem urywanym.—Więc z groźbami występujecie?

— Nietylko z groźbami—odparł powoli Notar, — ale i z żądaniem, ażebyście zaległą sumę w ilości 300 aspr w złocie zapłacili, jakto w początku swego panowania przyrzekł wasz padyszach posłom naszym...

W oczach Kalila błysnął gniew. Jak świadczą kroniki, wielki wezyr był tajemnym przyjacielem chrześcian, a w szczególności Greków, którzy mu za tę przyjaźń hojnie się wywdzięczali. Za panowania Murada II-go Kalil niejednokrotnie odwrócił burzę, grożącą Konstantynopolowi: dziś, przy młodym i chciwym sławy synu Muradowym, czy zdoła to uczynić? czy Mahomet posłucha rad jego? Czy zamiast tego nie wybuchnie gniewem i jedwabnego sznura starcowi nie poszle? Na wspomnienie jedwabnego sznura Kalil drży, bo wieluż to zapomocą tego tak prostego przyrzędu pozbawiono życia?

Jedwabny sznur padyszacha — to śmierć pewna, jak na szubienicy! Och, gdybyż to teraz jeszcze Murad II-gi panował nad prawowiernymi, Kalil nie wahałby się przyrzec Grekom, że wszystko, czego żądają, uczyni; ale dziś w miejsce dobrodusznego i przez długoletnie rządy i walki z nieprzyjaciółmi wyczerpanego i zniedołężniałego Murada — na tronie Turcji zasiada młody, energiczny, w zapędach i ambicjach swoich niepohamowany monarcha... Kalil nietylko nie dowierza młodemu sułtanowi, ale wprost boi go się. Już nieraz wezyr przyrzekał sobie, że zerwie tajemne węzły płatnej przez Greków przyjaźni, że złota ich nie dotknie więcej, służąc we wszystkim młodemu panu; ale postanowienia jego nie były trwalsze od marcowego lodu, co zrana ścina powierzchnię wody szklan-

ną powłoką, a gdy słońce przygrzeje, topi się i niknie bez śladu. Rolę słońca grało w postanowieniach Kalila złoto greckie... Na widok tego kruszczu wielki wezyr nie był w możności zachowania najwięcej nawet ważnej tajemnicy swego padyszacha. W Konstantynopolu wiedziano wszystko, co na naradach dywanu postanowiono w Adrjanopolu, wiedziano to, co wiedział wielki wezyr, a wezyr wiedział wszystko. Czy wiedział? Za czasów Murada — tak: tajemnicy stary sułtan przed nim nie miał; ale dziś, za czasów jego syna — było to rzeczą arcywątpliwą. Młody sułtan był skryty, podejrzliwy, niedowierzający i na własnym zdaniu polegający, przytem skąpy, czego Kalil znosić nie może.

Oto i dziś pod mury Adrjanopola gromadzą się liczne zastępy, aż ziemia pod nimi ugina się i jęczy, a Kalil napewno nie wie, po co padyszach zgromadzi je rozkazał. Ma to być niby wielki przegląd sił zbrojnych, przez sultana samego dokonany, ale wielki wezyr wątpi w prawdziwość tego zamiaru. Mahomet od kilkunastu już dni jest w dziwnym stanie rozdrażnienia. Mało jada, nie sypia, w przebraniu zwykłego dworzanina między ludem i wojskiem po kilka godzin przebywa, jakby chciał sam naocznie przekonać się o usposobieniu, sądach i życiu swoich poddanych. Żaden z sułtanów do tego stopnia się nie zniżał, nigdy jeszcze szaty padyszacha o ubiór zwykłego śmiertelnika nie ocierały się, a głos jego mogli słyszeć tylko wybrani.

Kalil w domysłach ginie, lecz zwykle na jednej, utrapionej, która go nigdy nie opuszcza, zatrzymuje się myśli:

— Czy nie Carogrodu zachciewa się młodemu

lwiątku? Czy nie o tronie Konstantyna Wielkiego marzy? Jesliby tak było, biada wam Grecy, biada ci, sławne Bizancjum, dni twoje byłyby policzone!

Tymczasem posłowie greccy, zamiast w pokorze znosić wszystkie, choćby nawet niedorzeczne żądania Mahometa, przeceniają swe siły, nie znając osobistej energii, odwagi i stałości młodego władcy w raz przedsięwziętych zamiarach. Mniemają, że to łakomy uciech, zabaw i igrzysk młodzian, któremu ich wiedza, doświadczenie polityczne i urok dawnej sławy imponuje. Młody cesarz nawet w stosunkach z nimi takim się być zdaje. Lecz Kalil, który codziennie na czyny swego pana patrzy, wcale innego jest o nim mniemania. Widział on, jak młodzieńcem jeszcze, w piętnastym roku życia, Mahomet z największą uwagą i pilnością słuchał swoich nauczycieli; jak zadziwiające czynił postępy w języku arabskim, perskim, haldejskim, łacińskim i greckim, chciwie słuchał wykładów historii i geografji, o najmniejsze wypytując się szczegóły. Widział też Kalil, jak po śmierci Murada młody następca zmniejszył wydatki na utrzymanie dworu przeznaczane, jak skasował siedmiotysięczny oddział sokolników, jako niepożyteczny, gdyż tylko do zabaw na łowach służył; jak następnie na czele licznej armji obszedł i zwiedził wszystkie swe obszernie prowincje w Małej Azji... Wszystko to sprawiło, że wielki wezyr zupełnie innego był zdania o młodym sułtanie, niż Grecy.

To też, gdy posłowie nadmienili mu, że przybyli, aby skłonić sułtana do wyjaśnienia im jego zamiarów i naprzykrzania mu się o wypłatę sumy, którą przyrzekł był w początku swego panowania co

rok wypłacać za przytrzymanie pewnego księcia ottomańskiego, — Kalil zapłonął gniewem.

— Nerozumni i przebrzydli Rzymianie! ¹⁾ — zawołał, podnosząc ręce i uderzając niemi o dywan, — wiadome nam są wasze zamiary, a wy nie myślicie o niebezpieczeństwie, które wam grozi! Powolnego Murada już niema; korona jego należy do mężnego zwycięzcy, którego nie będą krępowały żadne układy i którego nie wstrzyma żadna przeszkoda. Jeżeliście do tego czasu uchronili się przed nim, to powinniście dziękować pokornie Opatrzności, która odkłada karę za wasze grzechy. W jakim celu pragniecie zastraszyć nas niedorzeczniemi i czczemi groźbami? Przywołajcie Węgrów zza Dunaju, uzbrojcie przeciw nam ludy Zachodu, a bądźcie pewni, że tylko wywołacie i przyspieszycie swoją zgubę!

Na straszne słowa wezyra porwał się młodzieniec, którym był przebrany w zwykły ubiór rycerski Konstantyn XII Paleolog, i, kładąc rękę na rękojeści bogatej krótkiego miecza, zawołał:

— Na cienie przodków moich, mylisz się Kalilu! Nigdy noga Mahometa w grodzie cesarów nie postoi, chyba po moim trupie!...

Lecz pełnych zapału słów młodego imperatora nie słyszał wielki wezyr, gdyż uszy swemi wychudłemi rękami zatykał, oczy przymknął i bezustanku powtarzał:

— Już nic nie wiem, nic widzieć nie chcę!... nic nie słyszę... zupełnie słuch chwilami i wzrok nie dopisuje mi!... Najsławniejsi lekarze nie pomódz na tę

¹⁾ Historyczne.

słabość nie mogą... O, tak! ja nie wiem, nie widzę, nie słyszę...

Wtem zasłona u drzwi uchyliła się, i turek w skurczonej postawie w nich się ukazał.

— Co?... co?... — zapytał Kalil, jakby nagle odzyskując utracone zmysły wzroku i słuchu, których mu najszlachetniejsi lekarze, jak mówił, przywrócić nie mogli.

Turek jeszcze pokorniej skurczył się i pochylił. Głowa jego niemal dotykała ziemi.

— Wielki padyszach, któremu oby nieba jak najdłuższego żywota udzieliły, wzywa cię efendi!...

Kalil zerwał się, jakby mu kilka dziesiątków lat ubyło. Oblicze jego wyrażało niepokój.

— Padyszach mnie wzywa? teraz?... ależ to niesłychane!... Jak długie lata w służbie dla tronu spędziłem, nigdy się to nie zdarzyło!... Narada o północy?... padyszach?... — I Kalil drzeć znowu począł.

Skurczony we drzwiach turek cofnął się w głąb i zniknął powoli.

Notar zbliżył się do Kalila i rzekł:

— Złoto, jak ci powiedziałem, murzyni wnieśli do twego mieszkania. Pamiętaj o nas, Kalilu!...

Lecz wezyr nie zważał na słowa greka. Nie troszcząc się o zebranych w komnacie gości, wybiegł śpiesznie, ażeby się stawić przed oblicze sułtana.

Po wyjściu jego w komnacie zapanowało milczenie. Przerwał je Jerzy.

— Słyszałem rozmowę, która tajemnicą być powinna — rzekł głosem stłumionym — nie moja w tem wina. Miłosz, brat mój, słyszał ją również. O, panie — zawołał z przejęciem, zwracając się do młodego imperatora, jeśli Bóg ojca z niewoli pogańskiej uwolnić

mi pozwoli, służyć ci będę wraz z bratem. Rycerzem być i walczyć w obronie uciśnionych i prześladowanych było mojem marzeniem, snem mojej młodości!... O, panie, spojrzij na mnie miłościwie!...

Imperator wzrokiem napoty zdziwionym, napoty przyjaznym spojrział w szczerością i odwagą tchnące oblicze młodzieńca.

— Licz na mnie! — rzekł dobrotliwie. — Wszystko, co szlachetne, bliskie serca mego.

Jerzy przyklęknął przed tym rycerzem, który wkrótce męczeńską miał wobec potomności przywdziać na swe skronie koronę... Serce Jerzego pełne było dziwnej, niewytłumaczonej przyjaźni, czci i miłości dla cezara-młodzieńca. Chciał za sobą i Miłosza pociągnąć, aby wspólnie z nim ucałował rękę monarchy, lecz Miłosz, siedząc na dywanie, wciąż bawił się bogatym wachlarzem, który mu dał wezyr, i ani zważał na to, co się koło niego działo.

— Miłoszu — rzekł Jerzy — pójdź do mnie!...

Chłopak ani się poruszył.

— Miłoszu! — powtórzył.

Ten mruknął coś niechętnie.

— Ja nie chcę cię słuchać, Jerzy — odrzekł po serbsku — ja będę bogatym panem, ja mam już wielkiej wartości wachlarz ze złota i brylantów, a co będę miał w przyszłości! Słyszałeś, co mi sułtan przyrzekł!... Tu tak pięknie, tak miękko, wygodnie, wezyr mnie synem nazywa...

Jerzy powstał gniewny, z błyskawicami w oczach.

— Jestże to mowa brata mego, Miłosza? — zawołał. — Co słyszę, o, wielkie Nieba! On bez pracy, jak pierwszy lepszy żebrak, jałmużnę przyjmuje!... Bez

pracy bogacić się pragnie!... Żyć jak papuga w złotej klatce dla kaprysu możnych!?...

Miłosz spojrział na brata z politowaniem.

— Schowaj dla siebie te śmieszne morały — rzekł, nie przestając bawić się wachlarzem. — Jam już młodzieńcem, mam własną wolę...

— Miłoszu! — zawołał z uczuciem Jerzy — rzuć te niewczesne żarty. Czyż nauki i rady naszej drogiej matki, że tylko to uszczęśliwia człowieka, co własną pracą zdobędzie, nie tkwią w twojem sercu? Czyś już o matce zapomniał?...

Miłosz poruszył wachlarzem niecierpliwie.

— Przestań — rzekł gniewnie — nie życzę sobie uczyć się od ciebie tego, com czynić powinien, a czego nie!... Jeśli mi jeszcze dłużej będziesz czynił niesłuszne wyrzuty, przestanę cię uważać za brata!...

— Miłoszu!...

— Tak, będziesz mi obcym!... Panem możliwym i bogatym być pragnę. Los sam mi sposobność po temu nastrecza, czyż gardzić mam jego wspaniałością?... Rodzicom, gdy zechcę, wory złota posłę. Żyć będą wygodnie i błogosławić moje ręce...

— Nigdy, o, nigdy! Rodzicom nie złota, lecz serca dzieci potrzeba!... Nie uszczęśliwisz ich nigdy, Miłoszu!... Opuszczę natychmiast mury tego pałacu, który mi brata zabrał, opuszczę z przekleństwem!... Ty zaś, Miłoszu, pamiętaj, że hańba cię czeka!...

I, rzuciwszy się gniewnie naprzód, Jerzy chciał opuścić niemiłe mu ściany, gdy u zasłony przy wejściu spostrzegł dwóch uzbrojonych żołnierzy.

— Nikt progów tej komnaty przestąpić nie może. Strzedz was mamy, jak oka w głowie.

— Kto rozkaz ten wydał? — zgrzytając zębami, zapytał Jerzy.

— Kalil pasza! — brzmiała odpowiedź.

Jerzy spojrział dokoła komnaty wzrokiem osłupiałym, chcąc wezwać na pomoc posłów greckich, lecz tych już w sali nie było. Widać opuścili ją, gdy on rozmawiał z bratem.

Młodzieniec rzucił się ku innemu wyjściu, lecz i tam straż zbrojna czuwała.

— Jestem uwięziony! — krzyknął i upadł z rozpaczy na podłogę, miękkimi kobiercami wysłaną.

IV.

Zwierzenia.

Kalil pasza, opuściwszy tak niespodzianie swoich gości, biegł szybko przez liczne i zawile korytarze do komnat swej żony i dzieci.

Nie straszniejszego nad udręczenia sumienia!

Wielki wezyr połowę swych skarbów oddałby temu, kto powiedziałby mu, poco padyszach o tak niezwykłej godzinie wezwać go polecił. Czyby tajemne jego konszachty z grekami wyszły na jaw?...

Pasza wzdryga się na samą myśl o tem. Wie on, że sułtan karać umie. W tej chwili nawet przychodzi wiarołomnemu wezyrowi na myśl, jak pewnego razu rozgniewany cesarz kazał czterem paziom

brzuchy rozpruć, ażeby się dowiedzieć, który z nich, skradłszy wieśniaczce dynię, zjadł ten owoc pokryjому. A owe częste ekzekucje, z rozkazu sułtana za najmniejsze przewinienie na żołnierzach i dowódcach dokonywane?... Wszak coraz to częściej w przebraniu, otoczony świtą, tuła się Mahomet po ciemnych zaułkach swej stolicy lub obozu i, spostrzegłszy jakiegokolwiek uchybienie prawom obowiązującym każdego z jego poddanych, bez słowa łaski i przebaczenia śmiercią winnego karze.

Pasza wzburzony wewnętrznym niepokojem wpadł do komnat żony i czule ją uściskał.

— Żegnaj mi, towarzyszeko, może nie ujrę cię już więcej!—myślał w duchu, gdy stara turczynka, nie domyślając się nawet, jak straszna wewnętrzna burza jej mężem miota, spokojnie ścisłała mu rękę.

Wezyr z kolei uściskał swe dzieci i wybiegł śpiesznie z miłego mu rodzinnego grona, ażeby stanąć wobec straszego monarchy.

Przedtem jednak pobiegł do jednej ze ścian swego gabinetu, nacisnął guzik pod jedwabną draperją ukryty—i nagle w ścianie dał się słyszeć lekki trzask, a następnie niewielki otwór ukazał się oczom turka. Małe, żelazne drzwiczki zasłaniały go, i teraz za naciśnięciem sprężyny w głąb odskoczyły.

Pasza, ostrożnie na wszystkie strony obejrzawszy się, wsunął swą długą rękę w otwór i po chwili wydobyl ztamtąd szczerozłotą szkatułkę. Otworzył ją i oczy jego na chwilę ożywiły się wewnętrznym zadowoleniem. W szkatułce na jedwabnej materji świeciły jak gwiazdy na firmamencie niebios olbrzymie dżamenty, rubiny, topazy i inne drogie kamienie. Pasza z zachwytem przyglądał się tym klejnotom.

— Dostałem je w podarunku od greków za korzystny dla nich traktat, zawarty w dniu objęcia tronu przez Mahometa...—mrucał starzec.—Teraz rozstać się z nimi muszę.

Mówiąc to, wydobyl z głębi skarbcza wielki puhar, bogato różnobarwnymi drogimi kamieniami usiany, i, napełniając go brylantami ze szczerozłotej szkatuły, szeptał coś zcicha.

— Ten puhar — mrucał znów po chwili,—to dar despoty serbskiego, Jerzego Brankowicza. Otrzymałem go za przedłużenie umowy na drugie lat dwanaście. Wówczas żył jeszcze Murad...

Gdy puhar pełen był już błyszczących jak gwiazdy kamieni, Kalil zamknął swój skarbiec, nie zapomniawszy wstawić weń złotej szkatułki, na którą z westchnieniem spojrział. Klejnotów już w niej nie było.

Zamknawszy starannie skarbiec, pasza ujął w ręce puhar i śpiesznie z nim biedz począł. Podobny do widma, przebiegał wąskie korytarze obszernego gmachu i nakoniec zatrzymał się u olbrzymiej zasłony, bogato złotem i srebrem tkanej.

Dwaj, jakby z kamienia wykuci, janczarowie nieruchomie przed nią stali. Wezyr zasłonę odsunął i do wnętrza powoli zaglądał.

Dwa karły o dużych głowach i jeszcze większych zawojach naprzeciw niemu wybiegły.

Ujrzawszy wezyra, skakać przed nim i pocieszne miny stroić poczęły. Kalil wykrzywił usta, zmuszając się do uśmiechu.

Na dworze Mahometa karlików takich było kilkudziesięciu. Zabawiali oni sułtana, strojąc żarty i krotochwile. Żaden z nich jednak nie mógłby się

pochwalić, że kiedykolwiek wywołał uśmiech na wiecznie pochmurne oblicze padyszacha.

Kalil odsunął na bok pocieszne błazenki i przez miękko usłane kobiercami komnaty biegł, nie zatrzymując się. Tu i owdzie w rogach komnat na szerokich, niskich kanapach siedzieli dworzanie i paziowie padyszacha, zabawiając się rozmowami.

Błazny-karliki biegali między nimi, krzycząc pi-skliwie.

— Kalil idzie!...

Dworzanie wówczas wschodnim zwyczajem niskie pokłony przechodzącemu wezyrowi bili.

Tak dotarł pasza do purpurowej zasłony, przed którą zatrzymał się. Ciche klaśnięcie w dłonie dało mu znać, że wejść może.

Skulony we dwoje, nie śmiejąc wzroku podnieść, wszedł Kalil do komnaty.

Tu, postąpiwszy kroków kilka przed siebie, upadł twarzą do ziemi, trzymając w wyciągniętych nad głową rękach złoty puhar z klejnotami. Przed nim stał mężczyzna o twarzy młodzieńczej, ożywionej czarnymi oczyma i o czarnej jak skrzydło kruka brodzie...

Mąż ten, to ów nieznanym rycerz, który w tak niezwykły sposób zjawił się na pomoc Jerzemu i Miłoszowi, wybawiając ich od niechybnej śmierci,—to sułtan Mahomet II-gi, przed którym niezadługo miało zdrześć całe chrześcijaństwo.

Kalil, leżąc nieruchomie na dywanie i podnosząc wychudłymi rękoma puhar, mówił:

— O, wielki władco! słońce jedyne wszystkich prawowiernych, sprawiedliwości i mądrości niezmienna! przyjm od pokornego sługi, który niewart prochu zpod stóp twych zdmuchiwać, przyjm od tego nędzne-

go sługi swego dar skromny, który ci, władco najpotężniejszy, śmie ofiarować na dowód, że życie, mienie i wszystko, co za swoje uważa, twojem jest, panie wszechwładny, że miłość jego dla ciebie końca mieć nigdy nie będzie, tak jak początku nie miała...

— Przestań, Kalilu! — rzekł sułtan, przerywając wezyrowi jego szumną przemowę.— Ja ¹⁾ nie chcę odbierać ci tego, co ci pierw ręką moja dała; przeciwnie pragnę cię obsypać nowymi dobrodziejstwami. Żądam jednakże wzamian od ciebie daru, który będzie mi droższym i pożyteczniejszym od złota i drogich kamieni, a który dla mnie stanie się skarbem na ziemi: ja cię proszę o Konstantynopol!...

Kalil uspokoił się, obawy, że konszachty jego z grekami i chrześcijańskimi książętami ktoś zdradził, przysły. Zręczny dyplomata podniósł się z dywana i, podnosząc rękę do góry, jakby w natchnieniu, zawołał:

— Ten Bóg, który dał ci już tak znaczną część Rzymskiego imperjum, nie odmówi ci i stolicy z resztą posiadłości cesarów, które składają to państwo. Jego Opatrzność i twoja potęga są rękojmnią tego, a twoi wierni niewolnicy i ja — my złożymy w tym celu na ofiarę tobie życie i bogactwa nasze, aby się tylko woli twej stało zadość!...

— Łała! ²⁾ — odrzekł sułtan, czy widzisz tę poduszkę; w wewnętrznym niepokoju całą noc przewracałem ją z jednej strony na drugą. To zrywałem się z pościeli, to znowu kładłem się, lecz sen nie nawie-

¹⁾ Historyczne.

²⁾ Po tur. Mistrzu!

dzał moich znużonych oczu. Strzeż się i nie dotykaj złota i srebra Rzymian; my przewyższamy ich w sztuce wojennej i zapomocą Boga i proroka wkrótce ośladniemy Konstantynopolem!

Kalil z rękoma na piersiach złożonemi słuchał ognistych słów Mahometa i niewiadomo, czy pragnął w głębi serca spełnienia życzeń jego, czy też radby był zgubę stolicy Bizancjum odwlec jeszcze, dość że, zwiesiwszy głowę, odrzekł pokornie:

— Niechaj się stanie, jako rzekłeś, panie!...

Późno w noc jeszcze sułtan, wielkimi kroki chodząc po komnacie, zwierzał się wezyrowi ze swych zamiarów, a pasza kontent, że tak pomyślny dla niego rzeczy obrót wzięły, kiwał siwą głową, powtarzając od czasu do czasu:

— Niechaj się stanie, jako rzekłeś, panie!...

Gdy wreszcie sułtan rzekł:

— Idź, spocznij, Kalilu!—ten, zabierając się do wyjścia, zapytał:

— Dwaj młodzi serbowie są u mnie w gościnie. Imiona ich: Jerzy i Miłosz. Co rozkażesz, panie, z nimi uczynić?

Sułtan wstrzymał swe kroki i żywo odrzekł:

— Wolą moją jest, ażeby życzenia ich spełnić! Jeden z nich pragnie odszukać ojca, który jest u nas w niewoli, drugi chce zostać bogatym. Daj go więc na pomocnika Bałtaogły, admirała mej niezwyciężonej floty, z pensją stosowną do tak wysokiego stanowiska. Przy starym admirale może wyrobi się z czasem na pożytecznego marynarza. Temu zaś, którego zowią Jerzym, dopomóż w odszukaniu ojca. Tak rzekłem.

Wezyr, kłaniając się, schylony opuścił komnatę wielkiego padyszacha, powtarzając w duchu:

— O, Bizancjum! biada ci, biada!

V.

Rozłączenie.

Nazajutrz koło południa głośny dźwięk trąb, świst piszczałek i brzęczenie stali zbudziło Jerzego z zadumy, w której się pogrążył niepewny swego położenia i w obawie o Miłosza, coraz to więcej Ignącego do tureckich bogactw.

Trąby grały pobudkę, jakby przed bitwą, piszczałki przeraźliwie piszczały jakąś dziką wojenną melodją, a głośne, choć krótkie, odgłosy komendy co chwila słyszeć było można wśród huku bębnow.

Zdziwiony wrzawą Jerzy pobiegł do okna, ażeby się przekonać, co by znaczyć miała, gdy do komnaty wszedł Kalil, a za nim dwóch posłów greckich, którzy wczoraj tak ożywioną rozmowę z wielkim wezyrem wiedli.

Twarz Kalila była smutną i zniecierpliwienie przebijało mu się w oczach; za to posłowie greccy jaśniejli radością.

— Nigdy nie spodziewaliśmy się tak łaskawego przyjęcia — rzekł jeden z nich — Mahomet był do niepoznania uprzejmym i łaskawym.

— Nietylko, że na wszystkie nasze zapytania odpowiedział zadawalniająco,—mówił drugi—lecz prócz tego przyrzekł nam wkrótce wypłacić zaległe sumy. Obecnie wybiera się na wielki przegląd swej armji. Czy nie będziesz mu towarzyszył, Kalilu?

— Będę, lecz przedtem, proszę was, zapamiętajcie sobie dobrze to, com wam rzekł wczoraj. Sułtanowi wierzyć nie można...

— Zbyt czarno zapatrujesz się na sprawy nasze, wezyrze! Bądź pewien, że rycerski sułtan dotrzyma tego, co przyrzekł tak uroczyście!...

— O, łatwowierni, biada wam, biada!...—zawołał wezyr, żegnając się z posłami, ucieszonymi ułudnemi zapewnieniami Mahometa, który, gotując niezliczone hufce przeciw nim, zapewniał ich, że wiecznie w pokoju z potężnem państwem Bizantyńskiem żyć pragnie.

Gdy posłowie komnatę opuścili, wezyr zbliżył się do Miłosza.

— Młodzieńcze! — rzekł — szczęście twoje jest bez granic. Padyszach uczynił cię panem, którego dochody równać się będą dochodom każdego z paszów. Jesteś mianowany pomocnikiem Bałta-ogły, wielkiego admirała.

Miłosz z uśmiechem zadowolenia słuchał wezyra. Ten zwrócił się do Jerzego.

— Młodzieńcze—rzekł do niego—życzeniu twemu stanie się zadość. Dziś jeszcze z woli padyszacha wraz ze mną zwiedzisz wszystkie pracownie, w których niewolnicy chrześcijańscy mają zajęcie i, jeśli nie mylisz się, że ojciec twój nie zginął, lecz u nas jako niewolnik przebywa, znajdziesz go, poznasz i bez wykupu zabierzesz... Następnego dnia dam wam eskortę

i nad Sawę, pod dach rodzinny wyruszyście... Czyś zadowolony?...

W miejsce odpowiedzi Jerzy upadł na kolana przed wielkim dostojnikiem państwa mahometańskiego.

— Dzięczynne modły wraz z matką do Boga naszego za zdrowie twoje, wezyrze, zanosić będziemy, jeśli to, coś rzekł, spełni się... Ale, o, panie!...

— Jakie ale...

— Ale, o dostojny panie, nie rozłączaj mnie z Miłoszem. Gdyśmy w tę podróż wyruszyć mieli, matka nasza ze łzami w oczach prosiła mnie, ażebym jako starszy wiekiem nad młodszym bratem czuwał. W czasie długiej podróży ochraniałem go, wszędy pierwszy się zawsze na niebezpieczeństwo rzucając, drogę mu wygodną torując, abym mógł ze spokojnem sumieniem stanąć kiedyś przed matką i powiedzieć:

„Droga moja, oto syn, którego mi powierzyłaś. Wracam z nim w zdrowiu i oddaję ci go takim, jakim mi go w dniu naszego rozstania poleciłaś!...” Panie, sam widzisz, ja tak przed naszą siwą matką nie będę mógł powiedzieć. Ja stanę przed nią smutny, ze łzami w oczach i powiem:

„Matko, przebac, nie moja wina. Miłosz już dla nas nie żyje...”

Tu Jerzy ukrył twarz w dłoniach, nie chcąc okazać przed chłodnym wzrokiem wezyra boleści, która się na niej malowała.

Kalil w milczeniu spojrział na Miłosza. Ten z uśmiechem, jakby to, co mówił Jerzy zupełnie do jego osobistości nie odnosiło się, siedział z założonemi po turecku nogami na miękkiej otomanie i pił sorbet, cmokając ustami.

— Co odrzekniesz na mowę brata twego?—zapy-

tał go dostojnik.—Miłosz podniósł oczy na Kalila i tonem obojętnym, zwolna wyraz po wyrazie, te wyrzekł słowa:

— Nie brata, którego zdanie mało mnie obchodzi, lecz ciebie, paszo, słuchać pragnę!...

Kalil przymrużył swe siwe przenikliwe oczy.

— Czy nic nad to powiedzieć mi nie masz?...

— Niech się dzieje wola padyszacha; jam już jego sługa i jego rozkazów jedynie słuchać pragnę. Paszo, czyż ze mną, co ci polecono!

— Miłoszu!—zawołał z rozpaczą Jerzy.—Ty w służbie u bisurmanów?... O, Boże, czemuż cię pierwej nie widzę na marach!...

Wtem we drzwiach ukazał się pokojowiec wezyra.

— Co jest, czego niema? — zapytał go Kalil.

— Orszak już za chwilę z padyszachem na czele wyruszy na pola adrjanopolskie.

Porwał się na te słowa pasza.

— Ukochani moi synowie!—zawołał—będziecie musieli mi towarzyszyć na dzisiejszych manewrach wielkiej armji. Na manewra te przybędzie i Bałta-ogły. W oczach padyszacha polecę mu Miłosza.

Jerzy chciał z bólu, który go opanował po stracie brata, lecieć w świat, kędy oczy poniosą, lecz przyszło mu na myśl, że jeszcze w drodze, jadąc na przegląd wojsk wraz z wezyrem, zdoła Miłosza odwieść od jego lekkomyślnego postanowienia.

Wmilczeniu więc wyszedł na wielki dziedziniec, z kąd właśnie owe wrzaski piszczałek i granie trąb do uszu jego dochodziły.

Tu dziwny, pełen niewysłowionego uroku, przedstawił mu się widok.

Dokoła obszernego dziedzińca tryskały olbrzymimi

słupami wody, liczne fontanny, napełniając powietrze miłym orzeźwiającym chłodem. Wkoło fontan pochylały swe wonne główki rozkoszne kwiaty, przeważnie róże, bzy, lilje. Za niemi stały cyprysy, modrzewie; pomarańcze swe złote listki wplatały w drobne gałązki akacji, cytryny pokryte kwieciami uśmiechały się do ciepłych promieni wiosennego słońca. Poza tem wszystkim wznosiły się marmurowe kolumny, łuki i ściany zdobne w wykwintne rzeźby, precudne desenie, przedstawiające koronki i kwiaty.

Jerzy w milczeniu podziwiał ten przepych sułtańskiej siedziby, ale jeszcze większe zdziwienie wywołały różnobarwne tłumy wojska dziedziniec zalegające.

Wtem tłum ów rozstał się, robiąc szerokie pośrodku siebie miejsce, zabrzmiała znowu muzyka i z bramy pałacu wyjechało na lotnych arabskich koniach pięćdziesięciu żołnierzy z kapitanem na czele i w wielkim pędzie przez dziedziniec na ulicę wypadło. Była to przyboczna gwardja sułtańska, której [zadaniem przejście czynić cesarzowi, gdy ten przez ulice miasta dalej gdzie w podróż jedzie. Obowiązkiem ich, ażeby przejazd wszędy, gdzie sułtan się zwróci, był wolny od wozów, [koni, kramów, ażeby wszyscy kłaniali się czołem do ziemi i klękali, gdy władcę wiernych ujrzą.

Za nimi ukazało się czterdziestu piechurów w zwojach na głowie złotem przetykanych, wszyscy chłop w chłopu olbrzymi. Ale nie dorównywali oni wzrostem tym, którzy się wkrótce za nimi ukazali; było ich ośmiu, w dwa rzędy ustawionych. Jerzemu wydało się, że nad nich nie może być na kuli ziemskiej ni wyższych, ni barczystszych, ni dorodniejszych. Pomieczy nimi na karym rumaku, w którego przybraniu bly-

szczały drogie kamienie, a strzemiona świeciły jak złoto, jechał Mahomet II-gi, poważny i zadumany. Olbrzymy, idąc przy koniu sułtana, ramionami dosięgali ramion swego pana.

Był to więc orszak sułtański.

Tuż za Mahometem szli przyboczni jego pejchowie w czapkach złotych i sułachowie, trzymając w ręku łuk i strzały.

Świetny ten orszak kończył tłum w jaskrawych szatach, złożony z błaznów, karłów, murzynów, paziów. Ogółem około trzechset osób okrążało sułtana.

Za orszakiem padyszacha szły poczty paszów i książąt mahometańskich.

Pierwszy z nich był wielkiego wezyra. Kalil skinął na Jerzego i Miłosza i wraz z nimi dosiadł przednich, tureckiej rasy bachmatów.

Przy odgłosie trąb i piszczałek udali się za sułtanem, trzy mając się w pewnym od niego odaleniu.

Tłumy ludu zalegały ulicę miasta. Napróżno Jerzy usiłował objąć je wzrokiem, mając nadzieję, że między zebranym ludem ujrzy znajomą i drogą twarz ojca. Natomiast okrzyki podziwu co chwila wyrwały mu się z piersi.

Starcy zgrzybiali, młodzieńcy i mężowie — wszyscy rozstępowali się i padali na kolana przed padyszachem. Jedni ślady złotych podków rumaka sułtańskiego odgrzebywali i w pokorze całowali, padając twarzą do ziemi, drudzy żyły u rąk brzytwami podcinali sobie i tak wyciągnięte ręce przed nim na oświadczenie miłości swojej pokazywali, tryskającej z nich czerwoną wstęgą krwi nie tamując, ażeby tem okazać, iż wszystką krew, jaka im w żyłach płynie, kiedy jeno rozkaże, za niego wylać gotowi... Niektórzy znowu, obnażywszy się po pas, rozpalonemi do czerwoności szynami przypie-

kali się, aż swąd z tego niemiły na wsze strony rozchodził się i oddech tamował. Inni jeszcze biczowali się rozpalonemi drutami, sławiąc imię sułtana.

Tym Mahomet kilka garści złota paziowi rzucić polecił.

— W jakim że to wielkiem poszanowaniu ci pohańcy pana swego mają! — szepał do siebie ździwiony Jerzy, przypatrując się temu niezwykłemu widowisku.

Zdawało się, że, gdyby sułtan skinął, cały ten tłum nieprzeliczony na śmierćby poszedł bez chwili wahania się, bez prośby i skargi.

— Straszna jest twa potęga, Mahomecie! — dumal dalej Jerzy i smutnie głowę zwiesił.

Gdy różnokolorowy, mieniący się w promieniach słońca zbrojny tłum, składający orszak sułtański, minął bramy adrianopolskie i wyciągnął się półkolem na szerokiem wzgórzu, które wdali niewielki pokrywał lasek, — naprzeciw niemu w pełnym galopie wysunął się oddział, więcej niż trzysta ludzi mieć mogący, na koniach kasztanowatych, nieporównanej hyżości i lotności. Każdy z tych jeźdźców błyszczał jak słońce od złota i srebra, każdy wyglądał jak król wicz. Ci, jako ptaki otoczyli orszak sułtana i, wstrzymawszy konie, zwolna za nim postępowali. Ledwie, że ów bogaty oddział rycerzy przebiegł, gdy zza wzgórza na małych tatarskich koniach w pełnym pędzie ukazał się drugi dwa razy liczniejszy niż pierwszy. Wysokie łuki i strzały w kołczanach przez plecy jeźdźców przewieszzone czyniły oddział ten podobnym do obszernego pola wysokimi makówkami pokrytego, wśród których białe, niebieskie i czerwone zawoje, jak kwiaty polne, barwiły się i miły dla oka stanowiły widok. Zaledwie i ten oddział, okrążywszy sułtana, wstrzymał

rozpędzone konie i z wolna za nim postępować począł, gdy rozległ się miarowy krok licznej piechoty i zza wzgórza w zbitych szeregach wychylili się niezrównani janczarowie, których zbrojnymi szykami niejedno państwo odwieczne i potężne obalonem zostało. Szli tak spory czasu kawał i już całe wzgórze zbitą masą, głowa przy głowie pokryli, okrążając sułtana i przeraźliwie w bębny bijąc, a we wrzaskliwe piszczałki dmąc, gdy nakoniec ostatnie ich szeregi oczom Jerzego się ukazały. Tych już nie setki, lecz tysiące były. Okrążywszy pana swego, janczarowie z groźnym pomrukiem tysiący niedźwiedzi zwrócili głowy w stronę, gdzie on na wzgórzu, wstrzymawszy konia, przystanął. Wtedy rozwinięto wielką chorągiew, która jest znamiem całej mocy cesarskiej i którą nazywają Alamsamdia, jakoby kto rzekł: wszelkiej mocy chorągiew. Chorągiew ta powiewała tuż przy cesarzu. Drugą czerwoną ze złotymi literami, składającymi jakiś napis, rozwinęli owi świetni jeźdźcy, co jako królewęża wyglądali, a janczarowie dwie chorągwie, jedną zieloną z czerwonym, drugą żółtą z czerwonym nad swymi szeregami rozpostarli.

Gdy to się stało, ze wszech stron z muzyką i bębnami nadciągały świetne orszaki paszów i książąt, prowadząc za sobą tysiące jeźdźców i zbrojnych tłumów piechoty. Tentent ztąd powstał taki, że zdawało się, iż ziemia pod naciskiem tyłu wojowników żali się i jęczy. Beduini w białych płaszczach na głowę zarzuconych, jak stada lotnego ptactwa, krążyli na swych niez mordowanych koniach. Zdawało się, że znaku jeno czekają, aby, rozpuściwszy wodze, ziemię wkoło obiedz, roztratowawszy wszystko, coby im na przeszkodzie stanąć się ośmieliło.

Teraz, jak okiem sięgnąć, widział Jerzy tylko zbrojne szeregi jazdy, piechoty i artylerji, którą okrążyły stada wielbłądów, wołów i koni, częścią dzwigając na swych grzbietach lżejsze działa, częścią ciągnąc większe, pomiędzy którymi niejedno zdumiewało olbrzymimi rozmiarami.

Wtem na przestrzeni, dzielącej orszak sułtana od orszaku wielkiego wezyra, ukazał się goniec i pędem nadbiegł do Kalila.

— Wasza dostojność, załatwiwszy najpilniejsze sprawy państwowe, jutro, pod wieczór udasz się za padyszachem, który z całą armją obecnie zebraną zaraz wyrusza nad brzegi Helespontu.

Wielki wezyr zadrżał.

— Czyżby godzina Bizancjum wybiła?... — pomyślał, dając znak gońcowi, że odjechać może. Czyżby armja zaboreza Mahometa prędzej miała stanąć u wrót Konstantynopola, niż posłowie greccy, którzy w tak dobrej myśli ze swym młodym cesarzem stolicę Turcji opuścili?... Czyżby sułtan tak prędko gorące marzenia swoje pragnął oblec w szaty rzeczywistości?... Cóżby miały znaczyć zapewnienia dane posłom Konstantyna XII-go? Nie, Kalil nie myli się! Te zbrojne szeregi nie na manewra zebrane były, lecz na bój krwawy, ciężki, zacięty pod bramami grodu wschodnich cesarów! O, młody sułtan nikomu w zupełności myśli swych i zamiarów nie odstąpi; lecz siwy Kalil, który go, jako pacholę na rękę nieraz bawił, przeniknął go, przejrzał jego myśli i pewnym jest, że godzina upadku Konstantynopola wybiła już na zegarze wieków.

Rozmyślenia te paszy przerwał zgiełk i hałas, który się wszczął z boku jego świty. Kilku pacholków, cisnąc się, czyniło przejście mężczyźni lat czter-

dziestu, o niezwykłej tuszy i olbrzymim wzroście. Twarz jego była czerwona i jakby nabrzękła. Oczy małe, głęboko w czole osadzone. Ni koloru, ni blasku ich dostrzedz nie można było. Rzadkie brwi do góry wzniesione i wasy rudawego koloru sprawiały, że fizjonomia tego dostojnika,—gdyż dostojnik to i znaczny być musiał, bo poczet liczny, niemal Kalilowemu równający się za nim postępował, — nie czyniła na widzu dodatniego wrażenia.

— Efendi, efendi,—krzyczał piskliwym głosem olbrzym, co jeszcze więcej czyniło go niesympatycznym.—Przybywam na wasze wezwanie. Czy w porę?...

Kalil przyjaźnie przed przybyłym głowę pochylił.

— Jak zwykle, jak zwykle, Bałta-ogly!—odrzekł.— Przybycie twe zawsze radością wielką serce moje napędza. Wielki padyszach, któremu oby Ałach zdrowia przez długie lata udzielać raczył, poleca ci przezemnie, swego najpokorniejszego sługę, tego oto młodzieńca, który ci w przyszłości prawą ręką stać się może.

— Gdzież jest ten szczęśliwiec, na którego oczy słońca prawowiernych zwróciły się, który głos najpotężniejszego między mocarzami świata słyszał?—pytał swym piskliwym głosem pasza-admirał—on to był bowiem.

— Ja jestem owym, o którym mówisz, paszo! — odrzekł Miłosz — kierując konia ku temu, który miał wkrótce zostać jego opiekunem, kierownikiem i nauczycielem.

Jerzy boleśnie westchnął. Zdawało mu się w tej chwili, że Miłosz stoi nad brzegiem przepaści, że niepomny na wołania i przestrogi wprost ku niej dąży.

— Miłozu!—zawołał po serbsku Jerzy. — Ostatni

raz wzywam cię w imieniu matki i ojca, cofnij się! Porzuć tych pogan, na krew chrześcijańską cheiwych, nie łaknij bogactw, co nie są owocem twej pracy, lecz dziełem kaprysu tej ręki, która, jak prędko ci je udzieliła, tak jeszcze prędzej odjąć może!...

Miłosz nie spojrział nawet na brata, lecz żywo do Bałta-ogly mówić począł.

Widząc to, Jerzy odwrócił się.

— Nie mam już brata! — rzekł smutnie, i dwie łzy zabłysły mu w oczach.

Bałta-ogly z Miłozsem oddalili się szybko.

VI.

Poszukiwania.

Wkrótce opustoszały pola adrianopolskie. Sułtan na czele armji swojej odszedł, jak zapowiedział, nad brzegi Helespontu. Orszak Kalila wraz z Jerzym powrócił do miasta.

— Synu! — rzekł wezyr do Jerzego — oto słońce nieprędko jeszcze swój dzienny trud ukończy; weź przewodników i idź poszukać ojca twego, aby się woli sułtańskiej stało zadość.

Jerzy chętnie wysłuchał tej propozycji i wkrótce z dwoma janczarami udał się na obszerne place miejskie, gdzie niewolnicy budowali pałac cesarski i pracowali przy arsenale.

Niestety, pomimo najtroskliwszych starań, na jakie tylko tkliwe kochające serce synowskie zdobyć się może, w niewolnikach, których mu pokazywano, Jerzy upragnionego oblicza ojca swego dostrzedz nie mógł!

Dopiero przed arsenałem, gdzie tysiące rzemieślników i zwykłych robotników zajętych było odlewaniem olbrzymich dział, pomiędzy którymi jedno zdumiewało niezwykle wielkimi rozmiarami, młodzieniec spostrzegł starca, pilnie mu się przypatrującego.

— Czy znacie mnie?—zapytał go Jerzy po turecku.

— Nie znam, ale poznać mogę!—odrzekł starzec łamaną turezczyzną.

Jerzy domyślił się, że to serb być musi, gdyż niektóre wyrazy wymówił w tym języku.

— Moim rodakiem jesteście!

— Tak, serbem jestem, choć w tej ciężkiej niewoli zapomniałem już prawie, czem byłem niegdyś. Ręce mi od ciężkiej pracy w dzień i w noc opadają. Nieraz omdlały z wysiłku dopiero pod batem dozorczy przypominam sobie, że dni mojej krwawej niewoli nie skończyły się jeszcze. Och kiedyż dzień wybawienia zabłyśnie dla mnie? Czyż wiecznie tu jęczeć będę?... Boże, śmierć zeslij mi raczej!

Jerzemu, na te skargi starca, w całej okropności stanął obraz niewoli jego ukochanego ojca. Więc i on tak ciężko pracować i cierpieć musi! Więc i on napróżno spodziewa się z dnia na dzień końca tych męczarni!

Starzec z zanadrza wyjął papier jakiś i podał go janczarom, prosząc, ażeby pozwolili to, co na nim napisane, przeczytać Jerzemu.

— Każdemu, kto nas odwiedza tutaj w tym czy-

ścu ziemskim, dają ten papier do odczytania. Polecili mi to współtowarzysz mých cierpień, którego niedawno nad brzegi Azji pognano, a który spodziewał się, że pomoc nadejdzie mu niedługo, gdyż jak mawiał, synowie nie pozwolą, ażeby w niewoli u pohańców umierał.

Nie nadeszła jednak wyczekiwana z takim upragnieniem pomoc i starzec, przykuty do taczek, opuszczając to miejsce, aby może stokroć gorsze otrzymać, prosił mnie ze łzami w oczach, ażeby, jeżeli cokolwiek i kiedykolwiek więźniów wykupywać będzie, ten list zechciał przeczytać. Proszę cię więc, młodzieńcze, weź od janczara owo pisanie i uczyn, jak o to pełen czci starzec-niewolnik błagał.

Jerzy dał znak, i janczar ów list, który był zwitkiem pergaminu, wręczył mu z głębokim pokłonem.

Na pergaminie następujące słowa w języku serbskim wypisane były:

„Jako z obłoków piorun po piorunie w dąb silny uderza i druzgocze mu konary, rozrywa na części, że jeno słaba jeszcze iskierka życia w nawiedzonym drzewie pozostała, tak mnie nieszczęście po nieszczęściu, widać za ciężkie grzechy moje, druzgoce i miażdży. Napróżno wyczekiwałem, długie przebywszy w niewoli lata, które wiecznością męczarni i katuszy zwaćby się powinny, na synów moich, którzy o ojcu pewnie zapomnieć nie mogli; napróżno ich, jak spragniony kropli wody, jak tonący deski ocalenia—oczekiwałem. Dnie, miesiące, lata upływały, a ich jak nie widać, tak nie widać było. Przyszedł czas, że mnie ztąd gdzieś na kraj świata, między dzikie ludy, Boga prawdziwego i odwiecznego nieuznające, pognać zamierza-

ją, że ostatnia nadzieja, iż mnie kiedykolwiek synowie odnajdą — niknie. W tak wielkiej goryczy serca pogrążon będąc, nie tracę jednakowoż wiary w miłosierdzie Boże i to pismo towarzyszowi niedoli mojej pozostawiam, ażeby go wszystkim tym, co jako aniołowie niebiescy z czyśca dusze potępieńców przed tron wiecznej szczęśliwości wywodzą, tak oni z niewoli pogańskiej biednych męczenników wykupując, życie im nowe dają, ażeby tym wszystkim do odczytania owo pismo dawał. Być może, iż ktoś z tych wybawicieli, przeczytawszy podpis moją od ciężkiej, nadludzkiej pracy skrwawioną skreślony ręką, zawoła: — To mojego ojca pismo! Jeśli taka chwila mieć miejsce kiedykolwiek będzie, to serce moje jeszcze gorętszą niż dotąd miłością i wiarą w łaskę Stworzyciela światła zapłonie i do końca żywota gorzeć będzie.

Marek Kardzewicz.”

— Ojczy mój ukochany! — zawołał Jerzy — gorzkiemi i naprzemian radosnymi uczuciami miotany. Więc to twa ręka, w ciężkiej niedoli, jak sam mówisz, przez ten papier, skrwawiona i udreńczona pisze do mnie te pełne boleści słowa?... O, jakżem szczęśliw i udreńczon zarazem!... Szczęśliw, bom trafił na ślady skarbu, którego szukam, udreńczon, bo skarby te jeszcze w ręku złoczyńców się znajdują!...

— Młodzieńcze — rzekł starzec niewolnik, — jak widzę, znalazłeś to, czego szukasz, gdyż radość i smutek naprzemian walczą o pierwszeństwo na twojem obliczu.

— Nie mylisz się, starcze, choć niezupełnie do-

myślasz się prawdy. Znalazłem dopiero cień tego, czego szukam, ale i ten sprawia mi radość, bo gdzie cień, tam i przedmiot, który go rzuca, znajdować się musi.

— Jeśli tylko słońce świeci, młodzieńcze!... Bez słońca łaski Bożej nie znajdziesz skarbu, którego szukasz!...

— Wierzę, iż słońce to świecić mi będzie, gdyż w niczem przeciw sumieniu chrześcijańskiemu nie wykroczyłem.

— Obyż tak było, jak mówisz!... Ja spełniłem swoją powinność. Pismo, które ci oddałem, w lepsze nie mogło dostać się ręce, bo są to ręce synowskie.

Jerzy, pożegnawszy starca, oddalił się z janczarami w stronę pałacu wielkiego wezyra.

Gdy już kilkadziesiąt kroków znajdował się od niewolników, uszu jego doleciał przeciągły, bolesny jęk. Odwrócił głowę i ujrzał, jak dozorca tureccy ćwiczyli batami biednych niewolników, nagląc ich do pracy.

Był to pełen zgrozy widok. Jerzy z boleśnią ścisniętym sercem, zaciskając pięści i szepejąc: O, okrutni poganie!... odpłacę ja wam kiedyś za to znęcanie się nad nieszczęśliwymi!... wszedł w gwarne ulice stolicy.

VII.

Nad Helespontem.

Dnia 6 kwietnia 1453 roku ery chrześcijańskiej Mahomet II-gi, zatknawszy chorągiew bojową przed wrotami św. Romana, rozpoczął pamiętne w dziejach świata oblężenie Konstantynopola.

Dwieście pięćdziesiąt osiem tysięcy wojowników ze strony lądu, a trzysta dwadzieścia okrętów wojennych od morza otoczyło gród Konstantyna Wielkiego. Prócz tego niesforne tłumy azjatyckiej dziczy co chwila przepływały wąską cieśniną morską, Helespontem zwaną, która wodami swemi oddziela Europę od Azji i łączy morze Czarne z morzem Marmora. Zbrojne te, a niesforne tłumy, jako nawałnica deszczowa, która, bezustannie z chmur spływając, zalewa pola, wsie, ogrody, łąki, nic po sobie prócz zniszczenia nie zostawiając, spadły na przyległe stolicy posiadłości greckie. Nic przed nimi nie ocalało: po przejściu ich, tak jak po przejściu szarańczy, pozostawała tylko szeroka, naga pustynia.

Sułtan zajęty był ustawianiem olbrzymiego dział, które niedawno zostało odlane w Adrianopolu przez puszkarza Urbana — duńczyka, przez pewien czas zostającego w służbie u węgrodów, a później u greków. Puszkarz ów, zwabiony obietnicami szpiegów tureckich, przeszedł na stronę Mahometa i za wysokie wynagrodzenie przyrzekł odlać mu taką armatę, jakiej jeszcze świat nie widział.

— A czy będzie ona tak potężną, ażeby mogła zburzyć ściany Konstantynopola?—zapytał go wówczas sułtan.

— Znam dobrze grubość murów, otaczających to miasto — odrzekł Urban — ale, chociażby one były silniejsze od babilońskich, mogę ulać działo, które je rozbije. Rzeczą waszych inżynierów będzie, najpotężniejszy monarcho tak je ustawić, iżby skutecznie pociski jego celu sięgały.

W trzy miesiące później armata była gotowa. Pocisk z niej, ważący sześć centnarów, został wyrzucony z taką siłą, że przebiegł więcej niż milę przestrzeni i, upadając, zarył się na kilka łokci w głębi ziemi. Mahomet nie posiadał się z radości. To działo powinno skruszyć mury stolicy wschodniej i odsłonić przejście dla jego wyćwiczonych w boju janczarów, dla oddziałów licznej konnicy spahów i tłumów zebranych hord z głębi Azji i Afryki.

Do obsługi przy armacie dano siedemset ludzi, a dla przewożenia jej z miejsca na miejsce używano sześćdziesięciu wołów. Potworne to narzędzie zniszczenia otaczane było szczególną pieczołowitością sułtana i przy niem w pierwszych dniach oblężenia po kilka godzin spędzał on dziennie, naradzając się z dowódcami, na który punkt murów stolicy najpierw nakierować paszczę owej maszyny.

Jako wezbrane wody oceanu, wzburzone podziemnymi siłami, wystąpią z brzegów, zalewając z siłą huraganu wszystko, co na drodze swej napotkają, tak potęga Mahometa szerokiem półkolem obejmowała stolicę Konstantyna, coraz to się ku niej zbliżając i grożąc niechybną zgubą. Jak pajak, pewny sił swoich, usnuwszy pajęczynę, łowi w jej sieci nieostrożny owad

i raz nieznacznie omotawszy mu skrzydło lub nogę, wikła go i płacze dopóty, dopóki życia mu nie odbierze,—tak też sułtan, raz omotawszy greków ułudnemi zapewnieniami przyjaźni, cisnąć ich począł i w samo serce, zapomocą podejścia i zdrady, truciznę im wlewał.

Jeszcze na rok przed rozwinięciem swego sztandaru przed bramą świętego Romana, przez którą spodziewał się jako zwycięzca wjechać do Carogrodu, rozpoczął nad cieśniną Konstantynopolską budowę warownego zamku o trzech potężnych basztach. Jak roje pszczoł lub mrówek pracowały dniem i nocą nad wzniesieniem potężnych murów tej twierdzy tysiące jeńców chrześcijańskich, ściągionych tu z różnych miast obszernego państwa. Prócz tego kilka oddziałów wojska, mnóstwo rozmaitych rzemieślników pod kierownictwem samego padyszacha prześcigało się w gorliwości, skierowanej ku jak najszybszemu wykończeniu rozpoczętego dzieła.

Napróżno cesarz grecki słał poselstwo po poselstwie, pytając o przyczynę wzniesienia warowni tak blisko, bo o pięć mil tylko włoskich od Konstantynopola, co około ośmiu wiorst na naszą miarę czyni; napróżno groził, że, jeśli Mahomet należącej do jego państwa prowincji nie opuści, uważać to będzie za wypowiedzenie wojny:—sułtan zdradliwemi i pełnemi pokory odpowiedziami zawsze rozbrajał i usypiał czujność greków.

— Czynie to — mówił — ku waszemu i ku naszemu dobru. Z wielką bowiem żalością przychodzą do mnie kupcy, że im się wielkie dzieją krzywdy od rozbójników na Czerwonem i na Białem morzu. Przetóż chcę to złodziejstwo powściągnąć, ażeby kupcy bezpiecznie podróż swoje odprawiać mogli.

Jakkolwiek ministrowie cesarza Konstantyna słowom tym nie dowierzali i w razie, gdyby sułtan oddalił się od owej twierdzy, zburzyć ją zamierzali, lecz, upewniwszy się, że sułtan w przymierzu z nimi trwać pragnie, a więcej jeszcze wewnątrzniemi rozterkami zajęci, mniej baczenie na budującą się twierdzę zwać poczęli.

Aliści pewnego razu zbrojny oddział turków napadł na przyległą stolicy wioskę i ludność jej, spokojnie zbiorem zasiewów na polach zajętej, mieczem wyciął, a dobytek, jaki znalazł, uprowadził. Jeszcze o przyczynie tak haniebnego postępku posłowie greccy wyjaśnienia ze strony tureckiej nie otrzymali, gdy sułtan rozkazał każdy okręt, przepływający przez cieśninę, zatrzymywać i zapłaty od przejazdu żądać. Twierdza już była wówczas gotowa, i sułtan wielkie wojska ścigał, zostawiwszy w niej czterystu janczarów i pachołków liczbę znaczną do obsługi przy armatach. Załoga ta groziła zniszczeniem okrętowi, któryby nie słuchał jej rozkazów i pragnął zapłacić cło grekom. Jeden z okrętów weneckich oparł się niesłusznym żądaniom turków i w jednej chwili został zatopiony pociskami z baterji zamkowych.

Trzydziestu majtków, składających osadę owego statku, z dowódcą swym na czele, chciało się ratować ucieczką. W tym celu, wsiadłszy na szalupę, robili wiosłami, co sił starczyło. Na nic im się to nie przydało, bo aga wysłał po nich wielki statek wojenny i wszystkich w niewolę zabrał. Tu dowódcę rozbitego statku na pal wbić kazał, a jego podkomendnych ścięto, tak że ani jeden człowiek żywy z tej przygody nie wyszedł. Wówczas dopiero jasną rzeczą było, że sułtan tym sposobem dochody przynależne Bizancjum

sobie przywłaszcza; że zbudował ową twierdzę w celu niedopuszczenia sił zbrojnych z Europy zachodniej, któreby przez cieśninę na pomoc oblężonemu Konstantynopolowi iść chciały.

Pomimo to przed posłami greckimi kłamał, że wiecznie w zgodzie z Bizancjum żyć pragnie, że o jego losie dobrze myśli i że na wschodzie dwa tylko potężne państwa być powinny: Turcja i Grecja. To, co się stało bez jego woli, jak wycięcie ludności wioski i zatrzymywanie okrętów, w rachubę iść nie może, gdyż za to gardłem i mieniem zapłacą ci, którzy się przyczyną zatargu między obu przyjaznemi sobie państwami stali.

Co zaś do wielkich mas wojsk, które zbiera, — robi to dla przyczyn łatwych do zrozumienia. Chce się osobiście przekonać o wytrwałości, karności i gotowości na wypadek wojny tak żołnierzy, jako i ich dowódców.

To samo też oświadczył posłom greckim w Adrijanopolu podczas ostatniej ich w tem mieście bytności.

Niektórzy z nich, jak to widzieliśmy w poprzednich rozdziałach, nawet uwierzyli jego zwodniczemu słowom.

Teraz dopiero, gdy chorągiew sułtana powiewa przed murami stolicy, a wojska ogniem i mieczem niszczą wszystko wokoło, młody imperator grecki, w którego piersiach bije serce starożytnych bohaterów rzymskich, śle mu posłów z następującem objaśnieniem:

— Ponieważ ani przysięgi, ani umowy, ani pokora i pobłażliwość nie mogą z waszej strony być dla nas rękojmią pokoju, to trwajcie dalej, jak dotąd, w zdradzie, morderstwach i wszelkiem bezprawiu. Jedyna moja nadzieja w Bogu: jeśli On zechce do zgody

i pokoju nakłonić wasze serce, będę się cieszył tą przemianą; jeśli odda w wasze ręce Konstantynopol, bez skargi poddam się Jego woli. Ale dopóki Sędzia przedwieczny i Pan królów tego świata nie rozsądzi nas, dopóty obowiązkiem moim jest walczyć i śmierć ponieść w obronie mojego narodu.

Na te pełne godności słowa ostatniego z cesarów rzymskich, sułtan zrzucił z oblicza swego tak pilnie dotychczas trzymaną maskę obłudnej przyjaźni i oświadczył posłom, że gotów jest na walkę z ich panem.

Wówczas dopiero ostrzeżenia Kalila-paszy stały się dla greków proroczymi. Sułtan jak tygrys czaił się na zdobycz i, upatrzwszy najdogodniejszą dla siebie chwilę, rzucił się na nią wszystkimi siłami.

Przygnębieni i zrozpaczeni opuszczali posłowie namiot podstępного wroga.

— Zginęliśmy!—szeptał Łuka Notar.

— Siły nasze rozbite wewnątrzniemi niezgodami!—dodał drugi poseł. — Jedyna nadzieja w Bogu.

— Przewidywałem ja to—mówił trzeci,—że Mahomet zgubę nam gotuje, lecz nigdy nie przypuszczał, ażeby to tak prędko nastąpić miało. Tak zręcznie wszystkie swe zamiary niewinnemi intencjami upozorować umiał.

8 — Z takim nieprzyjacielem niełatwa będzie sprawa—dodał Notar;—przebiegły on, podstępny, a przytem mężny i w siły wojenne zasobny.

— Nie dorównywa on w setnej części męstwem i dzielnością naszemu imperatorowi, ale zato stokroć większą ma armją, niż nasza!...

— Oto namiot Kalila! Wejdźmy do niego na chwilę. Wszak rady wezyra, jakkolwiek za cenę zło-

ta i srebra kupowane, zawsze nie pozbawione były pewnego odcienia osobistej dla nas przychylności. Zapytajmy go, co on o naszym położeniu myśli.

Namiot wielkiego wezyra, obszerny i wysoko u szczytu złotym półksiężycem świecący, stał o kilkadziesiąt tylko kroków od namiotu padyszacha.

Kalil dopiero co wczoraj do obozu przybył, odbywszy wraz z Jerzym uciążliwą podróż, blisko sto pięćdziesiąt mil wynoszącą — od bram Adrjanopola do Carogrodu. Przez całą drogę pasza zapewniał rozpaczającego młodzieńca, że ojca swego napewno odnajdzie między niewolnikami do budowy twierdzy nad Helespontem przeznaczonymi. Sam pasza kilkadziesiąt tych nieszczęśliwych przed rokiem z Adrjanopola wyprawił na rozkaz sułtański. Pomiędzy nimi napewno i ojciec Jerzego znajdować się winien. Chyba, że w drodze z wycieńczenia i utrudzenia umarł. W takim razie dozorcę nazwisko jego zanotowali. A więc tu najpewniejszych o losach jego wiadomości zasięgnąć będzie można.

Gdy Kalil-pasza ujrzał wchodzących posłów, porwał się ku nim i o odpowiedź sułtańską dopytywać począł.

Ci powtórzyli mu oświadczenie Mahometa.

Wtedy twarz starego dyplomaty pokryła się nieklamany smutkiem:

— Koniec ci, wszechpotężne niegdyś państwo! Godzina upadku twego wybiła!—rzekł z zalem, a posłowie smutnie zwiesili głowy.

Odwiódł ich następnie wezyr na stronę i z zicha żywą zawiązał z nimi rozmowę.

Korzystając z tego, Jerzy wyszedł z namiotu i kazał podać sobie konia.

Następnie zapytał, czy janczarowie, którzy mieli rozkaz paszy udać się dziś z nim do nowowzniesionego zamku nad Helespontem, są już do drogi gotowi.

Natychmiast dwóch uzbrojonych jeźdźców wysunęło się z namiotu i przymknęło do Jerzego.

— Czekamy na ciebie, efendi!—rzekli.

Jerzy wspiął konia i popędził z nimi w stronę fortecy.

Po drodze spotykali zbrojne kupy tatarów, beudinów i górali azjatyckich, oddziały regularnej piechoty i biwakujące szwadrony jazdy. Minawszy obóz, na tle przeslicznego południowego nieba ujrzeli wznoszące się mury twierdzy o trzech potężnych basztach. Wkrótce wjechali w obręb fortyfikacji. Straże zatrzymywały ich co chwila.

Nakoniec przez ciężki ołowiany pomost, leżący na szerokiej szosie otaczającej mury twierdzy, dostali się do jej wnętrza. Cicho tu było, jak w klasztorze, tylko wielkie stopy kul armatnich najrozmaitszej wielkości, począwszy od małych jak jabłka, a skończywszy na wielkich jak dynie, wskazywały, że nie jest to miejsce spokoju i modlitwy.

Przed Jerzym stanął mąż olbrzymiego wzrostu i zapytał o powód przybycia do twierdzy.

— Z polecenia samego padyszacha przybywam tu, ażeby uwolnić pewnego starca, imieniem Marek, zajętego przy pracach nad fortyfikacjami twierdzy.

Olbrzym począł się kiwać, co miało znaczyć, że składa czołobitność wysłańcowi padyszacha.

— Prowadź mnie do niego!—zawołał Jerzy rozkazującym tonem.

Olbrzym w milczeniu odwrócił się i poszedł przodem. Za nim udał się Jerzy i janczarowie.

— Dlaczego on nic nie odpowiada?— zapytał ich młodzieniec, któremu serce biło gwałtownie na myśl, że za chwilę ujrzy oblicze swego drógiego ojca.

— Ali-aga—odpowiedział jeden z janczarów, tylko szabłą brzęczy po łbach i karkach wrogów, zaco go padyszach uczynił znacznym dowódcą; ale odkąd mu kula na polach Warny kawał języka wraz z szczęką urwała, już głośno chwalić zrozumiała mową najpotężniejszego padyszacha nie może!...

Przez wąskie korytarze olbrzym prowadził wyśłańców i nakoniec zatrzymał się przed ciemnym wejściem, jakby do podziemi wiodącym.

Nagle głośne wystrzały armatnie słyszeć się dały i twierdza zatrzęsa się, jakby piorun w nią uderzył. Wszyscy wstrzymali się na chwilę.

— To wielka armata padyszacha tak ziemię wstrząsa—rzekł jeden z janczarów. Gdy w Adrijanopolu strzelano z niej na próbę, lud wiejski na kilka mil wokoło słyszał huk tych wystrzałów, a ziemia drżała i trzęsa się. Mniemano wtedy, że to koniec świata nastął.

Tymczasem kanonada wzmagala się. Huk nieustanny, jakby ryk tysiąca gromów, wstrząsał powietrzem.

— To szturm!... to padyszach mury Carogrodu burzy!—zawołał znów janczar i oczy zabłysły mu żądzą boju.

Olbrzym zapalił łuczywo i zdawało się, że wcale nie zwracał uwagi na to, co się koło niego działo.

Powoli zaczęli schodzić w ciemne podziemia, gdzie powietrze przepelnione było wilgocią i zgnilizną.

Były to lochy, w których leżały zapasy amunicji; oprócz tego łączyły one obóz turecki z fortecą, ażeby na wypadek oblężenia można było nimi nadsyłać ludzi, broń i zapasy żywności.

Z godzinę już szli tak w milczeniu, gdy z boków i końca korytarza zabłysły pochodnie i kagańce. Jakieś postacie nędzne i wybladłe, z taczkami, łopatami i oskardami, ukazały się w ich świetle oczom przybyłych.

Im więcej zbliżał się Jerzy do tych widm czy ludzi, tem przerażenie i zgroza coraz to więcej go ogarniały.

— To są więźniowie-niewolnicy!—rzekł janczar,—pracują nad przekopaniem nowego podziemnego przejścia, któreby aż pod same mury Konstantynopola zaprowadzić mogło.

— A więc między tymi nieszczęśliwymi,—pytał się w duchu Jerzy,—znajduje się mój ojciec?...

I gorączkowo rzucił się naprzód, chcąc zbliżka oglądać każdego z niewolników.

Olbrzym chwycił go silnie za ramię, dając do poznania, że mu na to nie pozwala.

Jerzy szarpnął się silnie.

— Ojcie mój! ojcie! twój syn, Jerzy cię szuka!—zawołał głosem tak silnym, że echo długo wyrazy jego powtarzało, roznosząc je po wszystkich korytarzach podziemia.

Słaby jęk był na głos ten odpowiedzią.

Jerzy dłużej nie mógł się powstrzymać. Silne jego ramię odtrąciło olbrzyma, i młodzieniec rzucił się naprzód.

Ale poznał nierozwagę swego postępku.

Zaledwie kilka kroków posunął się między nie-

wolników, gdy ci obskoczyli go, wołając we wszystkich słowiańskich narzeczach:

— Wykup mnie!... jam rycerz znany!... Kto jesteś, czy nie Piotr Łaba?... Prędko żona okup za mnie przysła!... Gdzie ojciec Aleksy?... Przeklinam moją rodzinę! Oni tam szczęścia używają, a ja tu gniję!... Wykup i mnie! służyć ci będę jak pies, byleby słońce nad sobą widzieć!...

Takie i tym podobne rozpaczliwe wykrzykniki tych nieszczęśliwych rozrywały serce Jerzego boleścią niezmierną. Chciał postąpić naprzód,—dziesiątki rąk błagalnie się do niego wznosiło, chciał się cofnąć, —dziesiątki innych odwrót mu zamykały.

Wtem przeraźliwy świst gwizdka rozległ się dookoła. Na głos ten niewolnicy, jak stado płochliwego ptactwa na głos jastrzębia, rozbiegli się, pierzchając na wszystkie strony. W ślad za nimi kilka ciężkich uderzeń i bolesnych krzyków rozległo się tu i owdzie.

To dozorecy niewolników użyli batów, ażeby niesfornych przywołać do porządku.

Jerzy zakrył twarz rękami. Płakał, że mimowolnie sprowadził karę na tych nieszczęśliwych.

Olbrzym stał przy nim, dając znaki janczarom, ażeby mu pomogli przytrzymać zbyt energicznego młodzieńca. Okazało się to zbyt bezczemem, gdyż Jerzy stał już spokojnie, szlochając jak dziecko.

Wtem znowu uszu jego doleciał jęk, który już raz słyszał, gdy głośno po imieniu swego ojca wzywał. Jęk ten wydawał cień raczej, niż człowiek, na kupie gruzów przy wielkiej taczce leżący.

Na dźwięk tego bolesnego jęku Jerzy drgnął, jakby po nim prąd elektryczny przebiegł.

— Ojcze! — zawołał — mój ojcze!...

Znowu jęk stłumiony i ciche wołanie:

— Czy to ty, Jerzy?—dało się słyszeć.

— Tak, ojcze! to syn twój! — krzyknął młodzieńiec i, podbiegłszy, upadł na kolana przed tym, kto imię jego wymówił.

Wzrok nie mylił go: był to jego ojciec, ale jakże zmieniony, jak wychudły! Z dzielnego rycerza, który podkowy i sztaby żelazne łamał, pozostał zniechęcony starzec. A przecież nie tak długie lata przebył w niewoli!... Tylko poważna broda spływająca mu na piersi, oczy ocienione szerokimi łukami brwi ciemnych i nos orli pozostały takimi, jakimi je Jerzy widział przed wyjazdem ojca na wrogów.

Powitanie syna z Markiem było wzruszające. Jerzy całował okute w kajdany ręce starca i łzami radości je zwilżał.

Nagle zerwał się na równe nogi.

— Oto jest ojciec mój — zawołał do olbrzyma, — proszę cię, ago, z polecenia padyszacha uwolnij go!...

Turek w miejsce odpowiedzi począł na migi rozmawiać z jednym z dozorców niewolników.

Ten zbliżył się do Jerzego i zapytał go po turcku.

— Gdzie rozkaz sułtański?

— Jaki rozkaz? wszak Kalil-pasza, wielki wezyr, przysłał mnie ze swymi janczarami, ażeby świadczyli, iż wszystko, co mówię, z jego wolą jest zgodnem.

Olbrzym pokręcił głową, a turek, tłumacz jego znaków, rzekł:

— Sam cesarz kamienie na tę twierdzę znosił, fundamenta własnoręcznie pod nią zakładał i polecił, ażeby dniem i nocą więźniowie nad wykończeniem

lochów pracowali. Bez pieczęci padyszacha i jego pisma nikt ztąd uwolniony być nie może.

To niespodziewane oświadczenie rozwiało radość Jerzego. Wiedział, że oswobodzenie ojca tym sposobem odwlecze się. Chwilę dumał nad tem, jakby w najkrótszym czasie otrzymać pismo cesarskie.

— Kalil-pasza!... ten najprędzej wyjedna mi je!... Natychmiast udać się trzeba do niego!... — myślał Jerzy i chciał czempredzej opuścić podziemia.

Wtem ojciec wzywać go począł:

— Jerzy, światło oczu moich, nie opuszczaj ty mnie!... Ty nie wiesz, jakie katusze ciało i dusza moja tu znoszą, jak płaczę i krwawię się z każdą chwilą. Teraz, gdy nareszcie po tak długiej nocy rozpaczy i zwątpienia, ujrzałem znowu ciebie, moje dziecko, umarłbym, gdybyś mnie opuścił!... Żalości tej nie przeniosłyby już stargane siły moje...

Jerzy rzucił się do kolan starca. Ten przytulił go do stęsknionej piersi i płakał, jak dziecko. Kilka chwil tak trwali.

— Nie opuszczę cię już, ojcze, nie opuszczę nigdy!—powtarzał z zapalem młodzieniec.

Gdy wreszcie podniósł się z ziemi, dał rozkaz jednemu z janczarów, ażeby natychmiast udał się do Kalila-paszy i prosił go o wyjednanie pisma sułtańskiego.

Żołnierz w tej chwili opuścił lochy, ażeby spełnić to polecenie.

Po oddaleniu się jego Jerzy zapytał tłumacza, czy aga pozwoli rozkuć z kajdan ręce i nogi starca.

Odmowna odpowiedź olbrzyma znowu niemile zdziwiła młodzieńca.

— A więc zakujcie mnie, a uwolnijcie tego starca!...

Ja przecież więcej mogę mojami młodemi siłami korzyści wam przynieść, niż on?...

Tłumacz powtórzył na migi to żądanie.

Olbrzym również na migi odpowiedział, co w ustach tłumacza brzmiało:

— W żaden sposób staćby się to nie mogło, gdyż więzien to własność padyszacha, któremu oby Aflach zdrowia i szczęścia udzielać raczył. Kto więźnia zamieni bez wiedzy pana, ten własność jego zamieni. A czyż zamienienie cudzej własności nie jest wielkim grzechem?...

Jerzy na to oświadczenie smutnie zwiesił głowę i postanowił bądź co bądź czekać odpowiedzi paszy. Z fortecy do namiotu Kalila zaledwie kilka wiorst odległości. Za godzinę odpowiedź powinna nadejść.

Tymczasem stłumiony odgłos kanonady nie przestawał dochodzić uszu osób znajdujących się w lochach. Sułtan widocznie szturm do bram stolicy greckiej przypuścił. Odgłosy te niedalekiej walki na adze-olbrzymie i janczarze sprawiały zdumiewające wrażenie. Bledli, sinieli, czerwienieli naprzemian, ściskając głównie swych jataganów. Chwilami wydawało się, że jak dwa sępy krwiożercze zerwą się i na pole walki podążą. Wtem u wejścia rozległy się czyjeś kroki. Jerzy odwrócił głowę. Powracał janczar wysłany do Kalila.

Młodzieniec postąpił kilka kroków naprzeciw niemu i żywo zapytał:

— Gdzie rozkaz padyszacha?... Daj mi go zaraz!...

— Padyszach — odparł janczar — zajęty sprawami swego państwa i ukaraniem zuchwałego cesarza Konstantyna, który się ośmielił woli jego sprzeciwić; padyszach nie ma czasu na tak drobne sprawy, jak

uwalnianie więźniów. Za to Kalil-pasza przyrzeka, iż po wzięciu Konstantynopola, gdy padyszach mniejsze sprawy do rozpatrywania mieć będzie, wstawi się za wami do podnóżka jego tronu.

Porwał się na te słowa młodzieniec.

— Jako Bóg żywy, to być nie może!... Sam do wezyra pójdę! Przecież mam słowo sułtana, że ojciec mój, gdy zechce, może być wolnym!...

— Kalil pasza bardzo zajęty sprawami oblężenia. Dopiero co jedni posłowie z Carogrodu namiot jego opuścili, a już drudzy na posłuchanie czekają—mówił janczar.

Lecz Jerzy nie słuchał słów jego. Przypadłszy do kolan ojcu, na wszystko co najświętsze zaklinał go, aby na dwie godziny oddalić mu się pozwolił. Od tego wszystko zawisło.

Wielki wezyr musi wysłuchać słusznych jego żądań. Wreszcie niech żąda wykupu, a Jerzy zapłaci mu złotem i srebrem.

Starzec, choć z boleścią, zgodził się na żądanie syna i, błogosławiąc go, żegnał:

— Idź synu, lecz wracaj, bo, gdybyś mnie tu dłużej w tym grobie bez opieki zostawił, siły moje opuściłyby mnie i trupa zawiózłbyś chyba nad brzegi srebrzystej Sawy... Idź, dziecko moje, idź, ale wracaj... wracaj...

Jerzy oddalił się.

— Słuchaj jeszcze, Jerzy, — wołał w ślad za nim starzec,—a Miłosz gdzie jest?... Czy zdrow? może pozostał z matką?...

Jerzy zatrzymał się. Przygnębienie wielkie było widać w całej jego postaci.

— Nie pytaj o niego, ojcze! — odrzekł smutnie.

— Czy chory? Na Boga, mów!...

— Uspokój się, ojcze, Miłosz jak najlepszem cie-
szy się zdrowiem i powodzeniem!...

— Dzięki ci, synu! — odparł starzec spokojniejs-
szym już głosem.

Jerzy oddalił się, postanowiwszy sobie w duchu nie wyjawiać przed starcem niekzemności Miłosza...

Gdy wraz z janczarami przybył do obozu i wszedł do namiotu wielkiego wezyra, oznajmiając, że pragnąłby się z nim widzieć, pacholkowo stojący na straży u wejścia wstrzymali go, mówiąc, że wezyr odbywa tajemną naradę z parlamentarzami stolicy bizantyńskiej. Jerzy zatrzymał się przeto w komnacie przyległej tej, w której dawał posłuchanie pasza i, usiadłszy na otomanie, niecierpliwie wodził oczami po złoconych makatach, pokrywających ściany namiotu.

Niespodzianie ukazał się we drzwiach sam Kalil.

W rękę niósł mieniącą się od złota i drogich kamieni szkatułkę. Był to dar widać, złożony mu przez parlamentarzy państwa greckiego.

Wezyr, spostrzegłszy Jerzego, niecierpliwie brwiami poruszył i nieukontentowanie zabłysło w jego siwych oczach.

— Ukochany mój synu — rzekł, ukrywając szkatułkę w szerokich rękawach sukni, — zapewne masz do mnie interes w sprawie uwolnienia twego ojca, lecz, synu drogi, nie licz w tym razie na mnie. Padyszach, któremu oby Ałach szczęścia udzielać raczył, tak jest zajęty sprawami pierwszorzędnej wagi, od których życie lub śmierć tysięcy ludzi zależy, że wszelkich spraw osobistych, mniejszej wagi, zakazał przez czas oblężenia miasta przyjmować, a tembardziej

umysł jego osobiście niemi zaprzętać. Podziwiał więc mądrość jego, mój synu i dziękuj niebu, że tak łaskawie na słowa takiego, jak ty, chudopacholka odpowiedzieć raczył.

Gdyby z pogodnego nieba grom upadł, Jerzy mniejby się tem przeraził, niż słowami wezyra. Oświadczenie to, którego nikt już odmienić nie mógł, gdyż z ust samego sułtana pochodziło, odwlekało na długi czas, może na lata całe, uwolnienie starca. Bo czyż Konstantynopol prędzej zdobyty zostanie?... Być może stolica z pomocą państw chrześcijańskich u bram swoich zgniecie potęgę Turków... Jerzy drży na myśl tych wypadków, bo w każdym razie ojciec jego ucierpi na tem. Zdobywszy miasto, sułtan zajmie się jego sprawami, a zostawszy odpartym, zemstą przeciwko wszystkiemu co chrześcijańskie gorzeć będzie, nowe siły przeciwko wrogom zbierając. W każdym więc razie chwili, sprzyjającej uwolnieniu biednego więźnia, spodziewać się nie będzie można, lub odwlecze się ona na czas długi. Tymczasem tydzień jeszcze pracy bez światła słonecznego w zepsutem i wilgocią przesyconem powietrzu może zabić starca. Już dziś Jerzy spostrzegł, że wycieńczony on był zatrważająco.

— Wielki paszo! — rzekł, składając ręce jak do modlitwy. — Ach! paszo, litość nad nami miej!... Ojciec mi umrze, gdy dłużej w podziemiach pracować będzie!...

Kalil poruszył się niecierpliwie.

— Młodzieńcze! — odrzekł głosem chrapliwym, w którym zniecierpliwienie się przebijało. — Czy nie wiesz, młodzieńcze, iż woli padyszacha sprzeciwić się to wyrok śmierci wydać na siebie samego?... Czyżbyś chciał być katem?... Zaręczam ci bowiem, że nikt bezkarnie rozkazom sułtana sprzeciwiać się nie może.

Czyś zapomniał o dwunastu paziach, którym z jego rozkazu rozpruto brzuchy, kiedy nie chcieli wyznać, który z nich zjadł dynię skradzioną wieśniacze?...

Jerzy poznał, iż pasza nic dla niego uczynić nie może, iż wolę sułtana ślepo wykona i choćby stu takich, jak ojciec jego, miało przez to śmierć ponieść, na nic nie odważy się, nic w celu podania im ratunku nie zrobi. Tam, gdzie milion codziennie śle prośby, cóż znaczy prośba pojedynczego człowieka? Jerzy widział, jak nieraz tłumy greków przychodziły z prośbą do sułtana, aby opuścił ich pola, a ten nawet widzieć ich nie chciał; cóż mógł więc on, biedny i opuszczony nawet przez rodzzonego brata—zyskać?...

— Tak, tak, młodzieńcze — rzekł Kalil, zabierając się do wyjścia, ażeby ukryć skarby zamknięte w szkatułce, na które co chwila, odsłaniając rąbek rękawa, spoglądał.—Radzę ci, młodzieńcze, we wszystkim słuchaj woli padyszacha, który o dobro całego państwa troskliwym jest nieskończenie, który o każdym z poddanych swoich pamięta, który już i na ciebie, choć cudzoziemcem jesteś, łaskawie zwrócił uwagę!...

— Paszo! — zawołał Jerzy z rozpaczą, ja jestem bardzo; bardzo nieszczęśliwy!...

Lecz pasza nie słuchał go więcej, opuszczając komnatę.

Jerzy pograżył się w niezmiernej goryczy serca. Co pocznie nieszczęśliwy? jaką pociechę zanieśe wyglądającemu go, jak zbawienia, ojcu?

Godzina czasu upłynęła, a Jerzy wciąż dumał i dumał.

Wtem jeden z posłów greckich wszedł do komnaty, pragnąc odpocząć nieco. W milczeniu zasiadł

on naprzeciw Jerzego i smutnym wzrokiem nań spoglądał.

Jerzy widział już tego siwego starca w Adrijanopolu, gdy z przebrany cesarzem Konstantynem i innymi posłami do Kalila w odwiedzinę przybyli.

Starzec, widząc pełnego smutku młodzieńca, życzliwie rzekł do niego:

— Wszystkim nam nieszczęście grozi. Lecz myśmy obłączeni przez potężnego władcę, który sił swoich zliczyć nie może... Tobie, młodzieńcze, co zagraża, że tak zasepionym jesteś?...

Jerzy przybiegł do starca, którego piękna twarz oblicza świętych, na obrazach w kościele widywanych, przypominała.

— Współczucie twe, panie, jest współczuciem chrześcianina, przed którym ja w utrapieniu serce moje otworzę.

I w gorących słowach wszystkie swoje smutki i dolegliwości opowiadać począł. Gdy skończył, starzec uścisnął dłoń jego i rzekł:

— Ufaj Bogu, młodzieńcze, on takich jak ty nigdy nie opuszcza.

Znaczny to pan być musiał ów poseł i wielkiej uczciwości człowiek, gdyż Jerzy, patrząc na niego, dziwnie krzepiącego doznawał uczucia. Pełne ufności w Opatrzność Pana nad pany, Króla najwyższego wszystkich królów ziemskich, słowa jego wlewały otuchę i ukojenie w zranione serce młodzieńca. Nagle, klękając przed starcem, zawołał:

— Panie, uczyni, o co cię prosić będę!

— Mów, słucham cię pilnie.

— Mam pewien plan, który jedynie z pomocą twoją wykonany być może. Jutro, gdy słońce zacho-

dzić będzie, niech na wodach Helespontu jedna łódź rybacka w pobliżu nowowzniesionej fortecy krąży i przy brzegach od strony miasta się trzyma. Niebezpieczeństwo grozić jej nie będzie, gdyż rybakom zapuszczać sieci w morze nikt nie zabrania.

I Jerzy, zniżywszy głos, długo coś, ze starcem rozmawiał, stając się coraz to więcej ożywionym. Nadzieja promieniała mu w oczach, rumieniec zabarwiał policzki. Starzec uważnie słów jego słuchał i na znak jednomyślności co chwila z powagą dawnego patrycjusza Rzymu głowę skłaniał.

— A więc—rzekł głośnie—Jerzy,—gdy trzykrotny świst usłyszysz...

— Odpowiadając nań dwukrotnie, do brzegu przybije... — zakończył starzec.

VIII.

Śmiałe przedsięwzięcie.

Zmrok już ogarnął ziemię i w obozie porozpalało ogniska, gdy trzech jeźdźcy dążyli w stronę warowni. Byli to dwaj janczarowie i Jerzy.

Śpiesznie im widać było, gdyż pędzili, co koń wyskoczy. Wkrótce znaleźli się na dziedzińcu warowni.

Olbrzym-dowódca wyszedł naprzeciw nim.

— Oto rozkaz wielkiego wezyra — rzekł Jerzy, podając mu zwitek pergaminu.

Olbrzym skinął na jednego z żołnierzy i kazał mu zapalić kaganiec.

Przy czerwonym jego płomieniu szybko przebiegał pismo wezyra.

Przeczytawszy je, skinął na Jerzego i wszedł z nim w głąb zamku.

Dwaj janczarowie, przybyli z Jerzym, otrzymali rozkaz odjazdu. Wkrótce zatentniał dziedziniec pod kopytami ich koni.

Jerzy szedł za olbrzymem tą samą drogą, którą już rano dostał się do podziemi.

W milczeniu mijali chłodne korytarze i szli coraz to dalej, nie zatrzymując się ani na chwilę. Po godzinie dotarli na to samo miejsce, gdzie rano Jerzy spotkał swego ojca.

Niezadługo przed ich oczyma zamigotały znowu jaskrawe płomyki kagańców. Niewolnicy, jak widma, uwijali się z taczkami, łopatami i oskardami, pracując bezustannie.

Olbrzym skinął, i jeden z dozorców zbliżył się do niego.

Temu coś na migi pokazywać zaczął, a wkońcu pismo wezyra do odczytania mu podał.

Dozorca, przeczytawszy je, pilnie Jerzemu przypatrywać się począł. Po chwili rzekł:

— Rozkazy paszy wykonane będą. Starcowi pomagaj w pracy możesz!...

Olbrzym skinął głową, odwrócił się i odszedł w głąb lochów. Jerzy pozostał sam z dozorcą.

Chwilę jeszcze mierzyli się wzrokiem, wreszcie turek rzekł:

— Dlaczego tak ciężkie przyjąłeś obowiązki, będąc młodym i wolnym?

— Ażeby ojca wyręczyć, gdyż jest umierającym.

— Kto jest twym ojcem?

— Marek Kardzewicz. Mówiłem z nim dziś zrana.

— Znam go. Starzec to zacięty. Wyznawcą proroka nie chciał zostać! To harda dusza!... Ale też godnym tego nie jest, aby czczył Ałacha i jego proroka!...

— Daj mu spokój; on jest umierający.

Dozorca z niedowierzaniem na Jerzego spojrział. Pochodnia, którą trzymał w ręku przygasła nieco.

— Starzec ten zdrowy jest jeszcze — odparł — kto ci więc o tem, że jest umierającym, mógł powiedzieć?...

— Ten, kto jego dobra pragnie.

Tu Jerzy, nieznacznie trzos odpasawszy, złoto zeń wybierać począł. W czerwonym świetle pochodni błyszczało ono i mieniło się. Turek chciwie wzrok w błyszczącej monecie utopił.

Jerzy spojrział mu bystro w oczy.

— Bierz je! — rzekł głosem stłumionym.

— Za co? — pytał dozorcę.

— Za to, że Marek Kardzewicz jest umierającym.

Turek zastanowił się. Myśl jakaś przebiegła mu przez głowę.

— Ale on żyje i żyć będzie... — rzekł po chwili.

— Lecz lepiej mu, że już umarł.

— Umarł, — powtórzył machinalnie turek, zgarniając złoto do szerokiej kieszeni swego kaftana. — Może on i umarł... kto to wiedzieć może?...

— Tak, umarł... — potwierdził Jerzy, zsypując mu wszystko złoto. — Ja chcę tego, aby ten starzec umarł.

— Kto umarł, ten nie pracuje... — zaczął znowu

— Jego wynieść i pochować trzeba — dodał Jerzy, wyjmując ostatnie sztuki monety i dając je chciwemu turkowi.

— Wspólnie ciało jego wyniesiemy — odrzekł ów, zniżając światło pochodni ku ziemi, aby je przysłumić.

— Kiedy to zrobimy?

— Jutro, gdy wszyscy spoczywać będą.

Jerzy znalazł jeszcze kilka sztuk srebra i oddał je turkowi. Ten zgasił pochodnię, przyciskając ją do ziemi.

Na drugi dzień wieczorem, gdy słońce już dawno w falach morza utonęło, dwóch ludzi niosło ciało umarłego na noszach, szarem płótnem pokrytych. Szli w milczeniu przez ciemne przejścia lochów, jakby w głębokim smutku pogrążeni. Dokoła nich panowała nieprzejrzana ciemność, słabo rozpraszana czerwonym światłem kagańca.

Lochy wiodły ich to w tę, to w ową stronę. Byli — jakby w labiryncie. Człowiek idący przodem kierował się łatwo. Już kilka godzin szli tak jak cienie, gdy wkońcu zatrzymali się. Przed nimi zabłysły jakieś światła. Światła te poczęły się do nich zbliżać, kręcąc się, jak błędne ogniki na cmentarzysku. Coraz to bliżej świeciły w ciemności. Już teraz łatwo można było rozpoznać, że są to światła kagańców, że niosą je ludzie uzbrojeni.

Jeden z nich zbliżył się do człowieka idącego przodem, a teraz odpoczywającego przy noszach.

— To wy, Selimie? — zapytał, świecąc mu latarnią w oczy.

— Jam jest, — ten odparł.

— To, czem i ty z czasem zostaniesz...

Żołnierz spojrzął na nosze.

— Trup! — rzekł z lekceważeniem.

— Jak widzisz! — odpowiedział dalej turek, dyśząc ze zmęczenia.

— Rzecz dziwna, dlaczego sami go wynosicie.

— Znałem go; przed śmiercią prosił mnie o to. Ale czas ucieka, otwórzcie nam podziemie.

Żołnierz zanucił jakąś piosenkę i udał się w głąb, gdzie nań czekali towarzysze.

Słyszeć się dało kilkakrotne zgrzytnięcie klucza, później skrzypienie zawias i chłodny prąd powietrza wionął wzdłuż lochu.

— Idźmy! — rzekli tragarze i przez wygodne, szerokie schody wyszli na ziemię.

Pogodne, gwiazdzone niebo milionami gwiazd błyszczało nad nimi, wonny powiew wiatru przynosił zapach róż i bzów od strony ogrodów stolicy.

Umarły, nieruchomie leżący na noszach, poruszył się nagle:

— Czy już? — zapytał cichym głosem.

— Już! — odrzekł jeden z tragarzy, podczas gdy drugi oddalił się szybko, zmierzając z powrotem do lochu.

Umarły podniósł się z noszy i ukląkł na miękkiej murawie.

— Wielki Boże, Stwórco wszechświata! — zawołał — Tobie najpierw za wybawienie z ciężkiej niewoli dzięki składam!...

I chwilę, wzniosłszy oczy ku gwiazdom, modlił się gorąco.

— A teraz — rzekł głosem wzruszonym, — tobie, mój ukochany synu

Mniemany tragarz zbliżył się do starca i z radosnym okrzykiem padł mu w objęcia.

Byli to: Jerzy i Marek Kardzewicze...

IX.

Bitwa na morzu.

Plan Jerzego osnuty wraz z posłem greckim w namiocie Kalila paszy nadspodziewanie szczęśliwie się powiódł. Złoto, na które turcy są niezmiernie chciwi, dopomogło do tego. Jerzy dozorcę z łatwością przekupił, poddawszy mu myśl, że jeden z jego więźniów mógł umrzeć, a przecież umierało ich prawie codzień kilku. Któż więc sprawdzać będzie, czy ten, którego dozorca za nieżywego uzna, tylko chwilowo stan ten udawał?... Więzień, gdy żyje, urzędników tureckich bardzo wiele obchodzi, ale gdy umrze, staje się dla nich zupełnie obojętnym. Jerzy umiał namówić ojca, ażeby przez pewien czas udawał nieżywego, zwłaszcza wtedy, gdy dozorczy oglądać go będą. Dozorcom nawet przez myśl podejrzenie żadne nie przeszło. Ten zaś, który pierwszy o śmierci starca władze zawiadomił, był przekupiony przez Jerzego. Złoto, które otrzymał, uczyniło go posłusznym dla sprawy Kardzewicza. Tym sposobem starzec był wolnym, nad sobą widział lazuruwe niebo zasiane gwiazdami, a syna u boku.

— Gdzie teraz udamy się z tych miejsc przeklętych, moje dziecko — rzekł do Jerzego, który pilnie na wszystkie strony się rozglądał.

— W tę stronę, ojczu — odrzekł młodzieniec, wskazując na morze.

Powiedziawszy to, przyłożył rękę do ust i trzykrotnie gwiznął.

Od strony morza dało się słyszeć podobne gwiznięcie — tylko dwa razy powtórzone.

— Łódź na nas czeka! — krzyknął radośnie Jerzy i, chwyciwszy starca za rękę, udał się z nim ku cieśninie morskiej.

Czekała na nich wielka łódź rybacka. Rybak wiosłował i sterował nią zarazem.

Gdy ujrział Kardzewiczów — rzekł z cicha:

— Namiot Kalila!

— Konstantynopol! — odrzekł Jerzy.

Rybak był grekiem, ale mowę turecką rozumiał.

Wyrazy, które zamienił z Jerzym, były umówione.

Wkrótce łódź po gładkich falach, trzymając się wybrzeża, dążyła do Konstantynopola.

— Wyjaw mi teraz, Jerzy, twoje zamiary, co do dalszej naszej podróży. Usycham z tęsknoty za rodziną strzechą.

— Pierw musimy dotrzeć do Carogrodu, ojczu, gdyż na Adrjatyk nie przepuściliby nas turcy. Wejście do cieśniny jest pilnie przez nich strzeżone.

— A jak wydostaniemy się ztamtąd?

— Jak Bóg pozwoli, ojczu! W każdym razie będziemy wśród chrześcijan, a nie między pogany.

— O, gdybyż im tak jeszcze szablą po karkach zagrać! — zawołał stary Kardzewicz i oko odwagą mu błysło.

— Kto wie, czy nie uczynimy tego na murach stolicy Konstantyna! — odparł Jerzy.

Nagle zdala doleciały ich uszu krzyki i wrzaski. Huk pojedynczych wystrzałów muszkietowych rozdarł powietrze.

Rybak przestał wiosłować.

Wrzawa i hałas nie ustawały, przeciwnie coraz to bliżej było je słyhać. Wystrzał po wystrzale rozlegał się wśród ciszy nocnej.

— To bitwa na morzu!... Chryste Panie! broń nas! — zawołał rybak.

Na modrych falach Helespontu ukazały się jakieś czarne punkciki. Posuwały się one szybko w stronę nowowzniesionej twierdzy. Przodem, jak ptak, biegł po falach jakiś statek z szybkością nadzwyczajną. Widać, że czarne punkciki goniły ów statek, gdyż coraz bliżej okręzały go, starając się schwytać. Lecz on coraz śmieiej wysuwał się naprzód, co chwila błyskając, jakby iskrami, ogniem wystrzałów.

— Uciekajmy! — zawołał Jerzy.

— Niepodobieństwo, panie! — odpowiedział rybak. — Oto morze już burzyć się zaczyna. Te punkciki czarne to statki wojenne turków. Gonią okręt, co przodem biegnie. Wkrótce od biegu ich fale wielkie powstaną i pośrodku Bosforu załatyby naszą łódź wąż. Brzegu więc trzymać się musimy.

Statki zbliżały się. Ten, co biegł przodem, widać już było, jak pruć spienione fale i pędził całą siłą. Przepływał koło fortecy, pozostawiwszy nieprzyjacielskie statki daleko poza sobą.

Wtem huk straszny wstrząsnął ziemię i wodę. Olbrzymie bałwany uderzyły w łódkę, w której siedzieli rybak i Kardzewicz.

— Chryste Panie! — krzyknął rybak.

— To z fortecy dali ognia do uciekającego statku! — zawołał Jerzy.

Jak ptak swobodnie pływający w przestworzu niebieskim, wzięty na cel i postrzelony przez myśliwca, na chwilę wstrzymuje lot swój, chwieje się, waha, aż wreszcie ranny zwolna, zygzakiem pada na ziemię, — tak statek uciekający po wystrzale z fortecy zachwiał się, lot wstrzymał i zygzakiem po falach płynąc począł.

— Widać, że turcy dobrze strzelać umieją!... — pomyślał Jerzy.

Nagle spostrzegł, że czarne punkciki nie tylko wyprzedziły ów statek, ale w większej niż dotąd liczbie otoczyły go dokoła. Były to wielkie łodzie wojenne. Co chwila, jak sznur czerwonych paciorków, rozpałał się na ich ciemnych kadłubach sznur wystrzałów muszkietowych. Z niektórych statków, jak paszcze smoków legendowych wyrzucających ogień i siarkę, buchały płomienie wystrzałów armatnich.

Obskoczony dokoła statek, choć zwolnił biegu, ale co chwila rzucał na opasujące go łodzie dziesiątki ognistych pocisków. Oto jeden z tych pocisków upadł na statek nieprzyjacielski. Prędzej nie buchną płomienie z zapalanej smoły lub słomy, jak buchnęły ze statku, na który padły. Krzyk i pisk rozległ się na nim, jakby tych, co tam byli, żywcem palono.

— To grecki statek broni się przeciwko tureckim, gdyż grecki ogień na nie rzuca! Turcy tego ognia nie umieją robić! — rzekł stary Kardzewicz.

Teraz z obłązonego statku buchały dokoła snopy ognia. Biada statkowi, na który padły: płonął zaraz

Na wybrzeżu rozległ się tentent koni. Oddział jazdy biegł galopem, widocznie wystany, ażeby dać znać, co owa bójka na morzu znaczy. Szereg po szeregu nadbiegał nad brzeg wody i przystawał w miejscu. Od strony obozu tentent coraz się wzmacniał.

— Złe z nami! — szepnął Jerzy. — Od lądu nieprzyjacielska konnica, na morzu bitwa.

— Oddalmy się od brzegu na środek wody. Jeźdźcy spostrzedz nas mogą. Jedna salwa ich wystrzałów pozbawiłaby nas życia!... — radził stary Kardzewicz.

Rybak począł wiosłować. Łódka cicho mknęła po falach.

Obskoczony okręt coraz to gęściej strzelać począł i znowu z koła nieprzyjacielskiego wymykał się zwycięsko.

— Zginęliśmy! — zawołał rybak. — Statek uciekający prędko nas dogoni i jeśli nie zatopi, to wpadniemy w ręce Turków.

Przerażenie ogarnęło wszystkich. Ani Jerzy, ani jego ojciec nie wiedzieli co począć, jak sobie radzić. Na wszystkie strony odwrót był przecięty.

— Już po nas! — krzyknął rybak. — Oto statek nieprzyjacielski spostrzegł nas i pędzi ku nam!

Lekka turecka galera o pięćdziesięciu wiosłach, jak smok o szarem olbrzymiem cielsku, godziła wprost na nich.

Bez walki i oporu ze strony Kardzewiczów, Turcy zabrali ich wraz z łodzią na pokład galery.

Opór byłby szaleństwem ze strony Jerzego. Kilka wystrzałów położyłoby go trupem wraz z ojcem. Wołał więc poddać się Turkom, nie tyle wprawdzie dla siebie

ile dla ojca, o którego życie chodziło mu przede wszystkim.

Gdy dalej na morzu wrzała bitwa, galera cofnęła się za fortecę.

Ujęcie szpiegów w czasie wojny jest rzeczą pierwszorzędną. Turcy sądzili, że Jerzy, jego ojciec i rybak są szpiegami. W tych czasach wojny i niepokojów każdy człowiek ujęty w pobliżu armji mógł być uważany jako wysłaniec nieprzyjacielski w celu zbadania sił strony przeciwnej. Gdy schwytany nie przyznawał się do tego, o co go oskarżano, gdy utrzymywał, że szpiegiem nie jest i nic wyjawiać nie chciał, lub nie mógł o siłach i położeniu przeciwników, męczono go w okrutny sposób, czyli torturowano. Turcy w owych czasach umieli torturować tych, których o szpiegostwo obwiniali. Marek Kardzewicz wiedział o tem dobrze, choć o szpiegostwo jeszcze posądzanym nie był. Męczono go tylko jako niewolnika.

Różana zorza zabłysła na niebie, gdy galera wyjechała między niezliczone mnóstwo statków floty tureckiej. Jak okiem sięgnąć czerniły się one i kołysały na falach. Zdawało się, że dość byłoby, gdyby sultan te statki na Carogród rzucił. Ogień z nich spaliłby stolicę. Na szczęście wejście do portu Konstantynopola było zamknięte żelaznym łańcuchem, którego przerwać nie byłaby w stanie flotylla wszystkich państw świata.

Mniemanych szpiegów [zaprowadzono na statek, który jakby królewski błyszczał od złotych i srebrnych ozdób, od jedwabi i drogich materji. Dywany miękkie pokrywały podłogi, makaty i lustra błyszczały na ścianach.

Długo Kardzewicze i rybak stali u wejścia do

kajuty, zanim ukazali się w jej drzwiach dwaj mężowie poprzedzeni liczną świtą. Bogate szaty okrywały ich, brylanty błyszczały na zawojach. Na widok jednego z tych dostojników obaj Kardzewicze drgnęli.

— To Miłosz! — jęknął Jerzy.

— To on, to syn! — zaczął starzec, zachwiał się i upadł zemdlony.

Gdy przyszedł do przytomności, Jerzy stał nad nim. Dostojnicy, zamieniwszy ze sobą słów kilka, cofnęli się w głąb kajuty.

Bałta-ogły nie życzył sobie, ażeby pomocnik jego skompromitował się badaniem własnego ojca i brata, których o szpiegostwo posądzano.

Bałta-ogły, wielki admirał floty padyszacha, niegdyś, pacholeciem jeszcze, biegał po wzgórzach Bułgarji. Był on chrześcijaninem i należał do rodziny książęcej. Schwytany przez Turków przyjął mahometanizm i stał się wrogiem chrześcijan. Sułtan mianował go niedawno wielkim admirałem.

— Uczyni z tymi szpiegami, co chcesz — rzekł do Miłosza, gdy się cofnęli do kajuty. — Zdaje się, że cię znają!...

Miłosz wruszył ramionami, jakby chciał dać poznać, że mało go ci więźniowie obchodzą.

Wkońcu rzekł:

— Dobrze! Dziękuję, waszej dostojności!... Sam ich wybadam i jeśli są winni, na żadne względy nie zważając, ukarać każę!...

— Czyń, jakeś powiedział! — odparł leniwie Bałta-ogły i sapiąc wyciągnął się na miękkich materacach.

Miłosz chciał wyjść.

— Ale, ale...—rzekł w ślad za nim,—donieść mi

każ, czy okręci grecki, który dziś ostrzeliwano, schwytany lub rozbity został.

Miłosz, skinąwszy głową, oddalił się.

Wyszedłszy na pokład, ujrzał ojca wspierającego się na ramieniu Jerzego.

Starzec, ujrzawszy go, wzdrygnął się cały.

— Miłoszu, synu mój, tyś u pogan? — zapytał.

Miłosz zimnym wzrokiem spojrzał w błyszczące łzami żalu oczy starca.

— Miłoszu, dziecko moje, czyś chrześcijaninem jeszcze?

Ten milczał złowrogo. Twarz tylko pobladła mu, usta zsiniały. Obawiał się przekleństwa ojca.

— Miłoszu, ukochany synu, odezwij się do mnie i zaprzecz słowom moim!—nalegał rozpaczliwie starzec.

W miejsce odpowiedzi Miłosz odwrócił się i kazał wprowadzić jeńców.

— Na pokład mojego statku ich zawieźcie! — rzekł do janczarów, składających załogę okrętu.

Głowa starca w boleści opadła na piersi. Rękoma trzymał się silnie ramienia Jerzego.

— A więc to nie sen?—pytał sam siebie...—Więc syn mój jest sługą wrogów!

Zaledwie żołnierze odprowadzili ich kroków kilka, gdy wpadł na statek goniec, głośno wołając:

— Cztery wielkie okręty wojenne genueńskie zbliżają się do nas!...

Na wieść tę popłoch powstał na okręcie wielkiego admirała. On sam, zaniepokojony, ukazał się we drzwiach.

Miłosz powtórzył mu słowa gońca.

— Ognia do tych okrętów! — krzyknął.—W puch je rozbijemy! Nie takie floty zwyciężałem. I nagle,

przechodząc ze stanu obawy do wesołości, śmiać się począł:

— No, Miłoszu, dziś padyszach zaprosi nas przed oblicze swoje i łask nam swoich nie poskąpi, albowiem wielkie zwycięstwo odniesiemy!...

Ponury, złowrogi huk armat rozległ się dokoła. Miłosz drgnął.

— Boisz się? — zapytał admirał.

— Co znowu!... Ranne powietrze oziębiło mnie tylko i dreszcz po mnie przebiegł — odrzekł, siłąc się na uśmiech.

Armaty ryczały coraz bliżej, coraz głośniej.

Pokład statku admirała zajęli gońce. Jedni z nich przynosili wieści, że flota chrześcijańska rozbiła okręty tureckie, drudzy czekali na rozkazy głównego wodza.

Statek, na który zaprowadzono Kardzewiczów i rybaka, kołysał się na falach w sąsiedztwie statku Bałta-ogły. Jerzy widział, jak wódz ten i Miłosz naradzali się, wdrygając nerwowo po każdym wystrzale floty chrześcijańskiej.

Niewielka to była wprawdzie flota, gdyż składały ją zaledwie cztery wielkie galery genueńskie, wiozące oblężonym zapasy żywności, i kilkuset wyćwiczonych w rzemiośle wojennem włochów. Ale właśnie dlatego, że ta flota odważyła się wbrew potędze tureckiej nieść pomoc oblężonym, należało ją zniszczyć, a załogę w pień wyciąć.

Tak kazał przez swego gońca sułtan, uwiadomiony już o zapasach nocnych, które jeszcze dotychczas trwały z pragnącym przepłynąć czaty nieprzyjacielskie statkiem chrześcijańskim. Statek ten pomimo kilkogatynnej walki, otoczony tysiącem łodzi tureckich, bro-

nił się i zwycięsko ku bramom stolicy szedł naprzód. Na maszcie jego powiewała bandera cesarstwa Bizantyńskiego. A więc łatwo wymiarkować było można, że pięć statków wojennych chrześcijańskich postanowiło przepłynąć Bosfor pomimo trzystu dwudziestu takichże tureckich, broniących tego przejścia.

Był to pełen dziwnego majestatu widok, gdy małeńska eskadra genueńczyków bez chwili wahania się, z okrzykami pełnymi zapału swej załogi, szła na pomoc otoczonemu przez przeważne siły wroga statkowi z flagą cesarstwa. Zaraz przy pierwszym spotkaniu turcy dali sobie odbić ów statek, który w jednej chwili ze stanu odpornego przeszedł w zaczepny. Nastąpił drugi atak genueńczyków, lecz wtedy, jak chmury ptactwa, obsiadły ich dokoła setki statków tureckich. Zawrzał bój zacięty i gdyby odbywał się na lądzie, to garść chrześcijan wyciętoby do szczętu. Na szczęście flota turecka niedołącznie była przez Bałta-ogłę i jego pomocnika kierowaną; załoga jej przeważnie składała się z janczarów, którzy nie przywykli zwyciężać na morzu, jak to czynili na lądzie. Prędko też ogień armatni i sztuczny ogień, zwany greckim, straszne ze strony genueńczyków zadał turkom rany. Jak prędko i z furją natarli na nieprzyjaciół, sądząc, że samą liczbą zgniotą ich, tak jeszcze prędej, zostawiwszy tysiące poległych, od których krwi zarumieniły się dokoła fale Bosforu, cofnęli się w nieładzie. Wówczas z radosnymi okrzykami, biorąc między siebie uszkodzony nocną walką okręt, genueńczycy posunęli się ku stolicy. Mury jej już widać było zbliżone. Niezliczone tłumy ludności wyległy na nie i przypatrywały się tej niezwykłej bitwie, gdzie pięć statków stanęło przeciw setkom i zwyciężyło. Na lądzie też,

nad Bosforem zebrały się tysiące zbrojnych tłumów wojska tureckiego. Sam Mahomet stał na wzgórzu z wezyrem i ministrami, przypatrując się bitwie. Oczy jego rzuciły płomień gniewu. Jakto, więc flota jego miałaby zostać pokonaną przez garść przeciwników? Niedługo przekona się o tem, gdyż sam Bałta-ogły trzeci atak na wroga prowadzi. Teraz zguba chrześcian pewna.

Padyszach sam ręką daje znaki swej flocie, zachęca ją do boju. Z murów stolicy Konstantyn XII-ty w purpurowym płaszczu patrzy okiem pewnem na garść mężnych włochów i rzymian.

Atak rozpoczęli już turcy. Okręt wielkiego admirała na przodzie. Jak dwie chmury podczas burzy letniej, przeciwnymi wichrami gnane, uderzą o siebie w przestworzach powietrznych, gromami i błyskawicami przerażając ziemię, tak starły się dwie siły nieprzyjacielskie. Jak gromy huczały działa, jak błyskawice latały oslepiająco ogniste pociski genueńczyków i greków. Wiatr też powstał silny od strony lądu i dał potężnie w czoło floty tureckiej. Była to niespodziewana pomoc dla omdlewających już chrześcian. Wicher począł psuć szyki turków: rozgarniał ich statki, sprzeciwiał się ich ruchom, przewracał maszty. Skorzystali z tego przeciwnicy i ze zdwojoną energią natarli na muzułmanów. Atak był tak szalony męstwem i odwagą, że największe statki tureckie cofać się zaczęły. Sam wielki admirał ze swym pomocnikiem złoty statek, na którym się znajdowali, do odwrotu zwrócić kazali. Dwanaście tysięcy turków, nieprzywykłych do walk na wodzie, stoczyło się w nurty Bosforu od miecza chrześcian, nie licząc tych, którzy zostali wzięci w niewolę, lub poszli na dno razem

z rozbitymi statkami, na których walczyć jeszcze chcieli. Chłodne fale ostudziły na wieki ich zapał. Mahomet gryzł końce paznokci ze wstydu, gdy mała flota chrześcian ze zwycięskimi okrzykami i przy ogłuszających powitaniach ze strony mieszkańców stolicy, zawiąła do portu Carogrodu, pędząc przed sobą zabrane w niewolę statki tureckie.

Zwycięstwo greków było zupełne, porażka floty tureckiej haniebna. Jak porażone wystrzałem stado płochliwego ptactwa, rozbiegły się okręty tureckie i odstąpiły ku brzegom Azji i Europy.

W kilka godzin po przegranej bitwie wielki admirał Bałta-ogły i jego pomocnik otrzymali rozkaz stawienia się przed oblicze padyszacha.

Jadąc w lektykach, obaj drżeli jak w febrze Marzyli o zaszczytach, o łatwym zwycięstwie,—jakże ułudne były te nadzieje!...

Padyszach przyjął ich gniewnie. Oczy jego gorzały jak węgle wewnętrzną wściekłością.

— Nieszczęście! — bełkotał Bałta-ogły.—Wyznawcom wielkiego proroka Allah nie pozwala zwyciężać na wodzie, oddał on im zwycięstwa na lądzie...

Sułtan nie słyszał nawet jego uniewinnień, skinał i czterech drabów chwyciło najpierw olbrzyma admirała, tyłuż następnie powaliło Miłosza.

— Niepomni na dobrodziejstwa moje, odplaciliście mi niewdzięcznością! — mówił padyszach, starając się powstrzymać gniew tamujący mu mowę.—Shańbiliście moją flotę!...

Przestał, klasnął w dłonie i dwóch oprawców, trzymając w ręku złote pręty, przystąpiło do rozciągniętych na ziemi dostojników.

Sułtan znów klasnął w dłonie.

Sto uderzeń raz po raz spadło na plecy Bałta-
ogły i tyleż na Miłosza. Nawpół żywych po wykona-
niu kary zesłano z rozkazu padyszacha między dzikie
plemiona mongołów, w głąb Azji, jak zwykłych prze-
stępców lub zbrodniarzy.

Taki był koniec doli Miłosza, pragnącego bez
pracy i osobistej zasługi dojść do zaszczytów i bo-
gactw.

X.

Na murach Carogrodu.

29 maja 1453 roku Mahomet II-gi postanowił
przypuścić główny szturm do opierającej mu się tak
długo stolicy. Dzięki osobistemu męstwu ostatniego
cesarza bizantyńskiego i sprzymierzeńca jego walecz-
nego Giustiniani, genueńczyka, napróżno przez cały
już miesiąc sułtan burzył mury miasta ze swoich ar-
mat: grecy zagrzewani przez swoich wodzów w ciągu
jednej nocy naprawiali to, co turcy zniszczyli dniem.
Wobec tego padyszach gorzał z gniewu. Usiłowania
jego czterysta tysięcy ludzi liczącej armji rozbijały
się o dziesięcioletni korpus Paleologa. Na domiar
złego turcy przegrali bitwę na morzu, a olbrzymia
armata, która dotychczas tak wiele szkody czyniła
murom stolicy, pękła, zabijając i raniąc setki żołnie-
rzy w pobliżu stojących. Wynadek ten sam sułtan

sprowadził. Niecierpliwy, chciał, ażeby jak najczęściej
z olbrzymiego działa kruszono mury miasta i wskutek
tego rozgrzany metal, nie mogąc dłużej znieść tak
częstych wybuchów prochu, pękł z hukiem tak wiel-
kim, że sądzono w Konstantynopolu, iż nieprzyjaciel
minami wysadził część miasta. Podczas tych niepo-
wodzeń Mahomet obmyślił plan przypuszczenia sztur-
mu i od strony morza. Dotychczas szturmowano mia-
sto tylko od strony lądu, to jest od Adrjanopola, gdyż
port zwany Złotym-Rogiem grecy zamknęli na żelazny
łańcuch. Mahomet kazał kilkadziesiąt lekkich łodzi
swej floty wyciągnąć na ląd, poosadzać je na kołach
i w nocy, poprzedzającej szturm główny, toczyć po
ziemi tak, aby łańcuch, port Konstantynopolski zamy-
kający, ominąć. Gdy to uczyniono, kazał przez noc
całą tysiące swych janczarów na ląd z tej strony
przewozić tuż pod same mury miasta, spuściwszy
pierwej łodzie na wodę. Tym sposobem grecy nawet
nie spostrzegli się, jak o świcie kilkadziesiąt tysięcy
nieprzyjaciół tył im zajęło. Manewr ten osłabił wielce
siły obleżonych, gdyż połowę armji swojej na obronę
tej części miasta obrócić musieli.

Na dzień przed głównym szturmem heroldowie
Mahometa uwijali się przed namiotami obozu, głosząc
zebranyemu wojskom, że sułtan wielką nagrodę im
udzieli, gdy miasto zdobyte zostanie.

— Miasto i jego budowle należeć będą do mnie—
brzmiała odezwa sułtana — lecz wam oddaję jeńców
i wszelką zdobycz, skarby złota i piękna! Bądźcie
szczęśliwi i bogaci! Prowincje mojego państwa są
niezliczone: odważnemu rycerzowi, który pierwszy
wdrze się na mury Konstantynopola, będzie oddana
w zarząd najniekniejsza i najbogatsza z nich. Szczo-

drobliwość moja prócz tego osypie go zaszczytami i skarbnami, przewyższającymi jego własne oczekiwania!

Odezwa ta budziła nieopisany zapał w Turkach i innych mahometanach; biegali przed namiotami, z niecierpliwością oczekując dnia szturm i krzycząc:

— Ałach jest jeden; niema Boga oprócz Boga i Mahometa jego proroka!

Zupełnie inne było położenie oblężonych. Wycieńczeni przez długotrwałą, nadludzkich wysiłków wymagającą, obronę odbywali uroczyste procesje, błagając Najwyższego o łaskę i miłosierdzie. Jakkolwiek stolica wówczas więcej niż sto tysięcy mieszkańców w swych murach mieściła, z tych zaledwie 6,000 cesarzowi się oddało i wzięło miecz w rękę. Niezgody magnatów, którzy przez zawiść zobopólną szkodzili tylko sprawie ogółu, jeszcze więcej siły młodego cesarza Konstantina osłabiała. Wielu z nich przeszło do wrogów lub wiodło konszachty z sułtanem, inni jawnie opuścili stolicę i mieszkali w obozie tureckim, niedaleko namiotu Mahometa, a inni jeszcze pozakopywali swe skarby, ażeby ich czasami nie zażądano na koszt obrony miasta. Ostatni z Paleologów zmuszony był zabrać złoto i srebro z kościołów, przyrzekając, że po skończonem oblężeniu i odparciu wrogów w trójnasób je odda, ażeby być w możności zapłacenia żołdu swoim najemnym oddziałom. Prócz tego niezgody religijne szarpały umysły. Zwolennicy unji klócili się z obstającymi przy dawnych obrządkach kościoła wschodniego. Ci uznali papieża Mikołaja V za swego duchownego zwierzchnika, tamci uważali go i ogłaszali za wroga.

Wobec takiego położenia rzeczy, gdzie niezgoda, zawiść i obojętność dla sprawy dobra ogólnego co

chwila się wzmagając, osłabiały siły Greków,—młody cesarz Konstantin, dowiedziawszy się o zamiarze Turków przypuszczenia nazajutrz głównego szturm, zwołał 28 maja wieczorem w pałacu swoim wielką radę wojenną.

Smutny to był wieczór, smutna rada!

Ostatni z Paleologów ze łzami w oczach obejmował wodzów, którzy na wezwanie jego pośpieszyli. Byli to najszlachetniejsi i najwaleczniejsi z obywateli.

— Czy siły z Francji lub Austrii nie nadejdą nam z pomocą? — pytał Giustiniani cesarza.

Ten odrzekł z goryczą.

— Kiedy się o nadludzkich naszych wysiłkach dowiedzą, może z pomocą nam nadejdą!... Oby niezapóźno już było!... Liczmy na siebie jedynie i na pomoc Boga!...

W końcu komnaty, przy innych rycerzach, siedział młodzieniec o czarnych włosach i tętnącej męstwem twarzy. Przy nim starzec siwowłosy o orlim nosie. Imperator z kolei zbliżył się do nich.

Młodzieniec powstał.

— Ty, Jerzy, wiem nie opuścisz mnie do ostatniej chwili.

Ogniem zapału błysło oko młodzieńca.

— Za ciebie, panie, życie oddam, gdyż tyś rycerzem, o jakim w młodzieńczych snach moich marzyłem. Czoło twoje otacza sława, której wieki nie przygłuszają!...

Imperator wyciągnął rękę do młodzieńca, a ten ucałował ją z szacunkiem.

Jerzy, on to był bowiem, wraz z ojcem swoim został wzięty do niewoli na statku tureckim, który z wielu innymi wprowadzili byli genueńczycy po owej

wiekopomną sławą okrywającej ich bitwie morskiej na Bosforze, u bram stolicy. Grecy byliby Kardzewiczów, tak jak innych więźniów tureckich, zakuli w kajdany i użyli do najcięższych robót, gdyby nie odwołanie się Jerzego do samego cesarza Konstantyna. Młodzieniec pamiętał ów wieczór u Kalila paszy spędzony w Adrjanopolu, gdzie przebrany podówczas monarcha zwrócił na niego uwagę i pamiętne wyrzekł zdanie:

— Licz na mnie, młodzieńcze!...

Zaprowadzony jako niewolnik przed oblicze cesarza, Jerzy upadł przed nim na kolana i przypomniał mu owe słowa.

Bystre oko Konstantyna rozpoznało natychmiast rysy młodziana. We dwie godziny później Jerzy w świetnej zbroi walczył już na murach obok samego cesarza. Odwaga jego i zapal wkrótce zjednały mu uznanie u wodzów i w kilka dni godność rycerską mu ofiarowano. Radosna to chwila była dla Kardzewiczów.

Teraz wraz z innymi wezwano i ich na naradę do dworca monarszego.

Dopóźna w noc trwała ta narada. Konstantyn starał się w każdą pierś wlać męstwo i odwagę.

Sam jednak nie wierzył w słowa swoje. Pomoc nie przybywała, a wierna mu drużyna coraz to zmniejszała się, ginąc—jak na mężnych przystało — z mieczem w dłoni na murach miasta.

I teraz na ową ostatnią naradę przed głównem natarciem wrogów garść ich tylko widzi cesarz około siebie. Cóż ta garść podoła wobec mrowiska zbrojnych nieprzyjaciół?

Pomimo to krzepi on męstwo w piersiach zwat-

piących, zaklina wszystkich, że lepiej śmierć ponieść, niż na zwycięstwo wrogów patrzeć.

Ze wskrzeszoną energją i odwagą opuścili wodzowie i znakomitsi rycerze dworzec wschodnich imperatorów, do którego nazajutrz miał wjechać Mahomet II-gi, jako zwycięzca.

Jeszcze zorze poranne nie zabłysły na niebie, gdy od strony morza i lądu strażnicy, czuwający na basztach, usłyszeli jakiś stłumiony hałas, jakieś stąpanie, jakby ziemia pokryta była mrowiskiem ludzi. Natychmiast dano znać o tem cesarzowi, który, pomodliwszy się w soborze świętej Zofji, siadł na konia i wraz z Giustinianim udał się na objazd placówek nocnych. Za cesarzem jechało kilku rycerzy w wysokich hełmach na głowie i o szerokich mieczach u boku. Pomędzy nimi na dzielnym karoszu kłusował Jerzy.

Miasto spało jeszcze; gdzieniegdzie tylko równym, miarowym krokiem szły na przeznaczone sobie posterunki oddziały piechoty i jazdy, gromkimi okrzykami witając swego monarchę.

Z obu stron ulicy wznosiły się bogate marmurowe pałace zamożnych obywateli stolicy, wspaniałe świątynie sięgały złotymi kopułami lazurów przecednego nieba, które tylko nad Konstantynopolem tak czyste i przejrzyste się rozciąga.

Zamożność i przepych uderzały na każdym kroku. Wysokie pomniki, dworce starożytnych rodzin rzymskich, cyrki, teatry i inne gmachy publiczne wzbudzały zachwyt w piersi każdego, kto tę najpiękniejszą stolicę między stolicami całego świata oglądał. Na ulicach ruch począł się budzić. Tu i owdzie ukazywali się zakonnicy w szarych ubiorach, spieszyli

przekupnie, na placach gromadzili się ciekawi nowin w tłumach niezliczonych.

— Ach, gdyby każdego zdolnego miecz dźwigać uzbroić, co oto wśród tych tłumów beczynnie czas trwoni, pod bramami Konstantynopola nie byłoby już wrogów!...—rzekł Giustiniani do zadumanego monarchy.

— Sam widziałeś, dostojny panie — odparł monarcha,—że skarbiec państwa odziedziczony po przodkach pusty. Za cóż więc uzbroję te tłumy?... Przytem zawiść magnatów i niezgody obalały wniwecz najpiękniejsze moje usiłowania!...

Wtem do uszu ich doleciał ów przytłumiony tentent i hałas, o którym zawiadamiały ich straża.

— Turcy! — zawołał Giustiniani — i orszak cesarski pomknął z kopyta.

Gdy przybyli na mury, pośród których wznosiła się baszta i brama świętego Romana, Konstantyn wstrzymał swego rumaka. Dzień był już widny, i ze wzniesienia, na którym stanęli, widzieli wszystko, co się działo dokoła miasta.

Przerażający to był widok. Rzekłbyś mrowisko nieprzejrzone owadów cisnęło się szerokim kołem ze wszystkich stron ku miastu. Szarańcza, która mnogością swoją światło słoneczne zaćmić potrafi, mniej liczną wydałaby się oku ludzkiemu.

— To turcy! — szepnął Giustiniani — a Konstantyn dobył miecza i błysnął nim w powietrzu.

Gromki okrzyk był odpowiedzią na ten znak rozpoczęcia boju; grono najwaleczniejszych rycerzy otoczyło swego monarchę.

Jerzy na swym rumaku był zawsze blisko niego.

Niewyraźny z początku, szarem światłem poranku i oddaleniem zasłaniany tłum wrogów stawał się

z każdą chwilą wyraźniejszym. Już jak na dłoni widać było biegnących przodem ciurów ze snopami słomy i worami piasku na barkach. Zasłaniałi się nimi od pocisków z murów miejskich rzuczanych. Za nimi z muzyką trąb, piszczałek, z hukiem bębnow szli janczary; dalej tłumy tatarów, beduinów i rozmaitej azjatyckiej dziezy. Gdy już mała przestrzeń dzieliła turków od miasta, nagle wzniosły się poza nimi obłoki dymu, a po chwili nastąpił wybuch, od którego zdrząła ziemia. Artylerja sułtana ze wszystkich dział poczęła kruszyć mury stolicy. Podstąpili też pod samą fosę żołnierze, co szli przodem, i rażeni z murów ogniem, kamieniami i strzałami, zapełnili ją wkrótce po same brzegi własnymi ciałami, worami ziemi i snopami słomy. Tym sposobem zrobili przystęp dla szeregów zbitą masą idących za nimi. Powstał zgwiek, wrzawa, którą co chwila głużyły wystrzały artylerji tureckiej. Kule jej obalały mury stolicy, dziesiątkowały dzielnych obrońców miasta, lecz nie mogły osłabić ich męstwa.

Gdzie największe niebezpieczeństwo, tam czerwienił się zaraz purpurowy płaszcz ostatniego z Paleologów, który, jak na bohatera tej miary co on przystało, sam mieczem swoim raził wrogów. Przy nim błyskał miecz Jerzego i rumienił się krwią pohańców.

Naprzeciw tego miejsca, gdzie walczył cesarz, o kilkaset kroków od murów, stał Mahomet otoczony dziesięciu tysiącami przybocznej swej gwardji. Wielka chorągiew muzułmańska zasłaniała go co chwila, kołysana lekkim wiatrem.

Nagle Giustiniani, mężnie dnia tego walczący i mieczem swoim rozpraszający tłumy pogan, zachwiał się i miecz z obezwładnionej dłoni wyniósł

— Jestem ranny! — krzyknął i posterunek swój porzucił.

Wszczęło się zamieszanie między wiernymi mu genuńczykami.

Cesarz pobiegł naprzeciw niemu.

— Na Boga! rana wasza lekka! Dokąd śpieszycie? Obecność wasza jest w tej chwili niezbędną!...

— Śpieszę tą drogą, którą wejdą turcy!—odrzekł, drżąc z bólu ten wódz waleczny.

Szkoda, że w ostatniej chwili brakło mu męstwa do zniesienia bólu fizycznego, gdyż w tym momencie, gdy opuścił swój posterunek, turcy wdarli się na mury, skorzystawszy z chwilowej przerwy w obronie.

Pierwszym był olbrzymi janczar, zwany Hassanem. Ten stanął na murach Carogrodu.

Pośpieszył ku niemu Jerzy i, zaciąwszy mieczem, zrzucił go w fosę. Widząc to, cesarz zdjął z siebie złoty łańcuch i włożył na szyję młodzieńca.

Zawrzał bój zaciekły, lecz grecy, straciwszy wielu mężnych wodzów, ustępować poczęli. Wtem i Mahomet na czele świeżych sił doborowych janczarów zbliżyć się począł. Naporu jego już nie mogli odeprzeć oblężeni. Jeszcze raz ożywił gasnące ich siły Konstantyn i powstrzymał zwycięskich janczarów.

— Turcy w mieście!—rozległ się złowrogi krzyk ztyłu obrońców.

Wistocie—niektóre oddziały janczarów wdarły się do miasta od strony morza... Wtedy ostatnią nadzieję ocalenia stolicy stracił Konstantyn. Od tej chwili walczył już, ażeby zginąć sławnie i ani o sekundę nie przeżyć upadku swego państwa.

Chwilę jeszcze błyskał mieczem, rażąc napastników, chwilę purpurowy płaszcz jego czerwienił się

wśród otaczających tłumów nieprzyjaciół, — aż wreszcie cesarz zachwiał się i z przebitem sercem upadł na piersi swych wiernych przyjaciół.

Śmierć jego była śmiercią sławnego w dziejach Bizancjum.

W dwie godziny później Mahomet wjechał do Konstantynopola, jako do stolicy swego państwa i na miejsce złotego krzyża na kopułach soboru św. Zofji kazał zawiesić mahometański półksiężyc.

XI.

Pod strzechą rodzinną.

Nad brzegami uroczej Sawy stoi chata o ścianach bielonych. Na ławce pod lipami, otaczającymi zielonym wiankiem zabudowania, siedzi grono osób, żywą zajętych rozmową.

Dwoje starszków, dłoń w dłoni trzymając, rozmawia z dwoma młodzieńcami o wesołych obliczach.

— A jednak nigdy nie spodziewałbym się — mówi starzec, — że z Jerzego taki dzielny mąż wyrośnie.

— Nie odmawiaj tego ojczu i Miłoszowi; kto tak jak on błędy swoje uzna i poprawi się, godzien jest pochwały.

— Nie odmawiam mu tego, lecz lepiej ci postępują, którzy z drogi prostej nigdy nie zbaczą.

— Odpokutował już Miłosz—rzekła starszka, — między dzikimi ludami Azji i podczas swej ucieczki

i długiego tułactwa na obczyźnie. Niech będą Bogu dzięki, że pozwolił mu jeszcze za naszego życia pod dach rodzinny zawitać.

W miejsce odpowiedzi jasnowłosy młodzieniec ucałował dłonie rodziców.

— Ale cośmy ucierpieli, cośmy ucierpieli w niewoli pogańskiej!... — rzekł z westchnieniem starzec i głosem wzruszonym rozpoczął opowiadanie przebytych przygód.

— Nie zapomnę nigdy tego—mówił wkońcu do słuchającego jego słów grona, — nie zapomnę, gdy ze zdobytego przez Mahometa Konstantynopola, wśród huku wystrzałów i wrzasków walczących, uprowadzili nas genueńczycy i na swe statki zabrali. Miasto już było w mocy tureckiej, gdyśmy bezpiecznie przez Bosfor na morze wypłynęli. Zajęci zdobyczą muzułmanie nie spostrzegli ucieczki galer genueńskich. Gdyby nie to, pewnie umarlibyśmy z Jerzym w niewoli pogańskiej!...

— Nie mów już o tem! nie mów!—zawołała starsuszka.—Ot, lepiej dziękujmy Bogu, że tak szczęśliwie z wielkich niebezpieczeństw was wywiódł i oczy moje na starość widokiem waszym rozradował.

Czytelnicy zapewne domyślili się, że rozprawiające w cieniu lip starych grono — to rodzina Kardzewiczów.

K O N I E C .

SPIS RZECZY.

	<i>Str.</i>
I. Złe wróżby	5
II. Niezwykły wybawca	11
III. Na dworze sułtana	22
IV. Zwierzenia	43
V. Rozłączenie	49
VI. Poszukiwania	59
VII. Nad Helespontem	64
VIII. Śmiałe przedsięwzięcie	83
IX. Bitwa na morzu	88
X. Na murach Carogrodu	100
XI. Pod strzechą rodzinną	109

